... Cena 1 zł. w Czechosłowacji 3.50 Kc. 26 listopada 1932. Nał. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX.

NR: 48

ŚWIATOWID

25-LECIE ŚMIERCI ST. WYSPIAŃSKIEGO.



Dnia 28-go listopada 1907 r. zamknął oczy w Krakowie genjalny poeta i malarz Stanisław Wyspiański. W szeregu nieśmiertelnych wizyj scenicznych wcielił on pragnienia i tęsknoty narodu polskiego i wywróżył mu zmartwychwstanie. (Fragment autoportretu Stanisława Wyspiańskiego. Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie).

ECHA TYGODNIA.



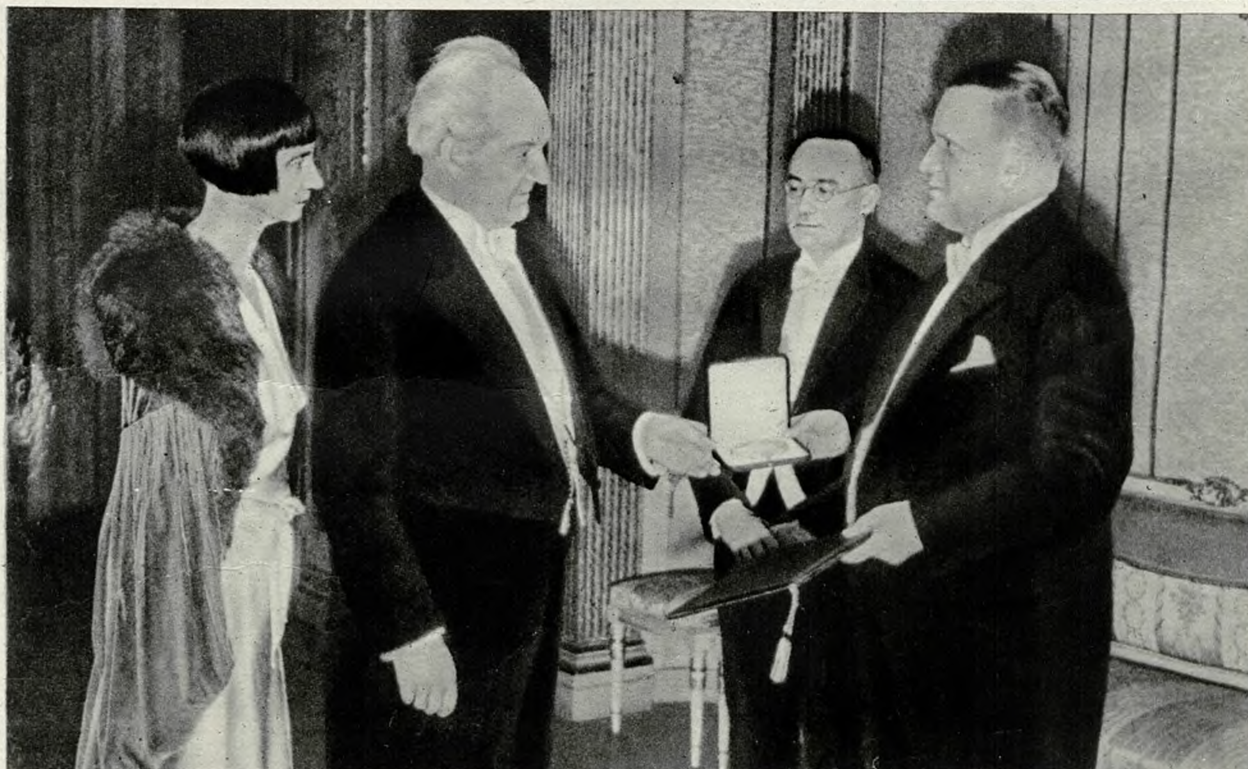


REPREZENTATYWNE POLOWANIE NA ŚLĄSKU. Dnia 15 i 16 bm. odbyło się w Pruchnej na Śląsku Cieszyńskim reprezentatywne polowanie, na które P. Prezydent Rzeczypospolitej zaprosił ambasadorów i posłów, akredytowanych w Warszawie. Rewiry w Pruchnej słyną z obfitości bażantów i zajęcy. Na zdjęciu P. Prezydent Rzplitej na stanowisku i myśliwi przy rozkładzie. Stoją od prawej: radca ambasady włoskiej Petrucci, poseł niemiecki von Moltke, ambasador angielski Erskine, dyrektor prot. dypl. hr. Romer, podsekretarz stanu płk. Lechnicki, poseł czechosłowacki Girsa, ambasador Italji Bastianini, P. Prezydent Rzplitej, podsekretarz stanu Karwacki, minister Sprawiedliwości Michałowski, generał Rydz-Smigły, płk. Głogowski, radca Michał Mościcki, inż Knotte, gen. Sosnkowski.





SPIĘTRZENIE SANU POD PRZEMYŚLEM. Dnia 15 bm. odbyła się w Przemyślu uroczystość otwarcia jazu, wybudowanego na Sanie przez 4-ty bataljon saperów. Jaz ten ma za zadanie spiętrzanie wody na Sanie, który w rejonie Przemyśla jest bardzo płytki, co uniemożliwia ćwiczenia saperskie. Inicjatorem tej budowy jest płk. Langner. Długość jazu wynosi 90 m. Na zdjęciu fragment jazu i grupa reprezentantów władz i zaproszonych gości, m. i. gen. Tessaro, dowódca O. K. X., obok po prawej ks. biskup sufragan Barda, starosta przemyski Remiszewski, oraz dowódca 4-go bataljonu saperów, płk. Langner (szósty od lewej), płk. dypl. Dziurzyński, szef sztabu D. O. K. X.



HAUPTMANN JUBILATEM. W całych Niemczech odbyły się wielkie uroczystości z racji 70-lecia urodzin poety Gerhardta Hauptmanna, urodzonego dnia 15. XI. 1862 r. w Salzbrunn na Śląsku. Jest on najwybitniejszym współczesnym dramaturgiem niemieckim, zyskawszy sobie sławę szeregiem sztuk, np. „Tkacze“ (1892), „Hanusia“ (1893), „Dzwon zatopiony“ (1897), „Woźnica Hentschel“ (1903), „Szczury“ (1911) i t. d., które obiegły wszystkie ważniejsze sceny europejskie. Hauptmann wyszedł ze szkoły naturalistycznej Zoli. Rząd niemiecki ofiarował mu w dniu jubileuszu złoty medal państwowy, który wręczył mu komisarz rządu dr. Bracht. Moment ten przedstawia fotografja.

»JARMARK ŚMIECHU«

PREMJERA WARSZAWSKIEJ »BANDY«.



Scena finałowa w „Luna-parku". Na pierwszym planie Dymsza.

Zdjęcia St. Brzozowski, Warszawa.

Co to jest jarmark? Dużo rozmaitych kolorowych lub smacznych rzeczy. Jedni sprzedają — drudzy kupują. Jest to regjonalne święto handlowe. Jeżeli kupujących jest dużo — jarmark się udał.

W „Bandzie" jarmark się udał. W sobotę i niedzielę brakuje nawet towaru.

A towar — przedni: kolorowy i smaczny.

Taka Zula Pogorzelska, naprzykład: w pierwszej części — straszydło, tylko walić, — w drugiej: Marlena Dietrich, Greta Garbo i Josephina Baker w jednej osobie: tylko całować. W linji — schudła, głos pogrubiał. To jest wprost bezczelność z takim głosem tak świetnie robić swoje piosenki. Vamp na wesoło.

A znów Ordonka — vamp na wężowo. Głos, ruchy, interpretacja falują, jak kolorowe ciało węża podzwrotnikowego. Kiedyś, po jakimś jej przebojowym numerze, gdy Ordonka po raz któryś tam wychodziła kłaniać się przez kurtynę, usłyszałem, jak pewien profesor uniwersytetu, siedzący obok mnie, odruchowo syknął przez zęby: „Bestja". Był to najwyższy hołd, złożony talentowi i kobiecie.

Wielokrotnie opiewany w recenzjach Dymsza dał znów „łobuza na zimno", tym razem jednak — uśmiechniętego. Ma się wrażenie, że ten wyrafinowany w stosunku do publiczności kokiet, jakby mrugał do niej podczas gry i rzucał półgębkiem: „A co, jak ja to robię?" I dlatego go lubią.

Para papużek „inseparables"— Tom i Lawiński, jak zwykle „dała koncert" (styl ze wzmianek) szmoncesjady w skeczu „Inkasent". Kilkunastoletnia destrukcyjna działalność obu tych profesorów języka neo-żydowskiego sprawiła, iż żydzi w Warszawie mówią obecnie tylko językiem skeczowym. Polacy też: z początku — żartem, potem — na serjo. Za sto lat, przy badaniu źródłosłowów języka polskiego, cytowane będą napewno nazwiska: Tom i Lawiński.

W programie naturalnie musi być piosenka o „Jo Jo". Żelichowska, notoryczna nagość „Bandy" i T. Olsza, sex — appelista tejże, wyjojali piosenkę tę z powodzeniem, zarówno w śpiewie, jak i w tańcu.

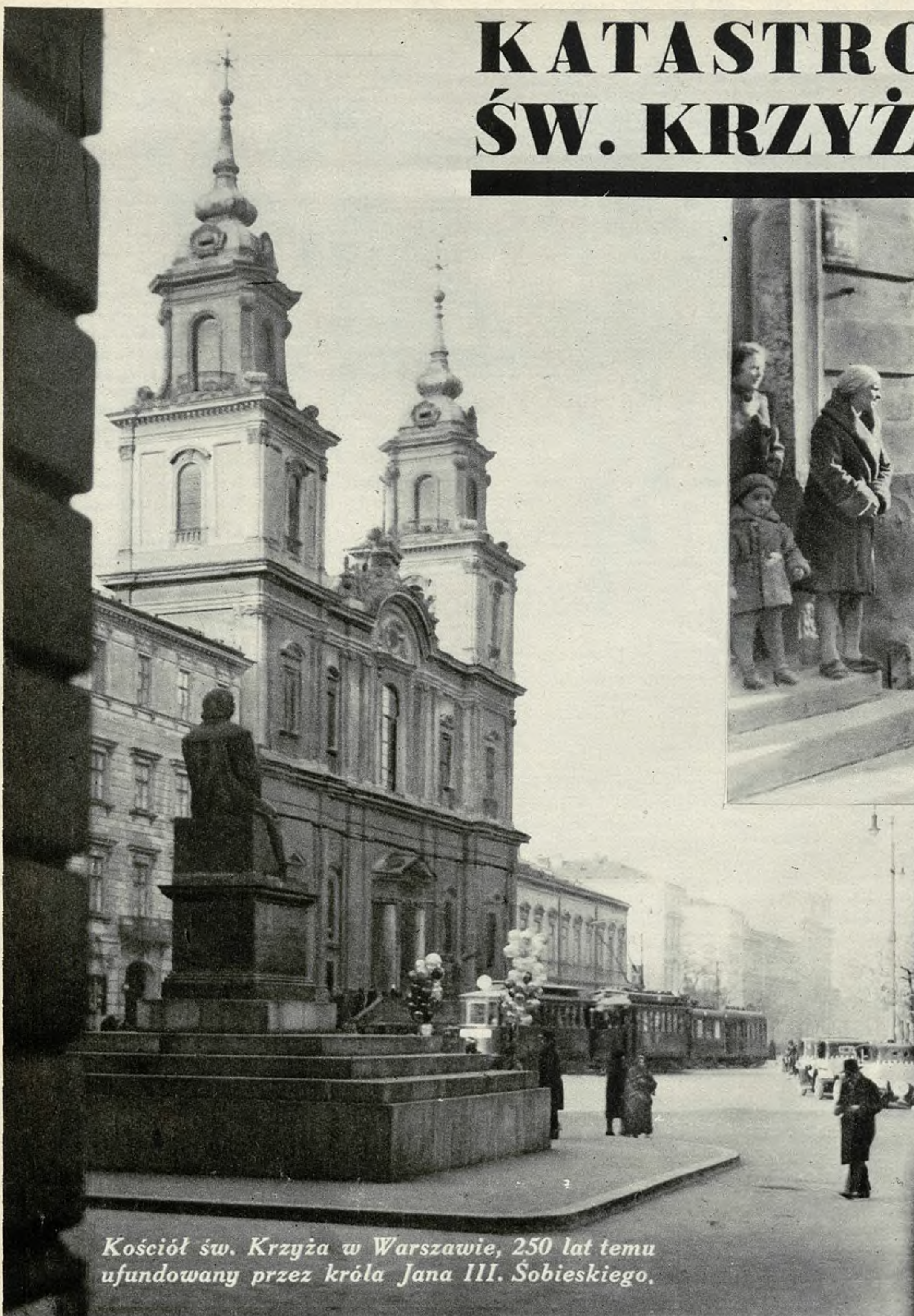
Jeżeli dodamy do programu Stefcię Górską, jako pieprz, H. Buczyńską, jako „sól mądrości". Korjanównę, jako młodą sałatę, Kondradta, jako sos szlachetny i Jarosy'ego, jako najlepszego w Europie „bujacza" (conferencier), to otrzymamy winegret, który zasługuje w zupełności na tytuł „Jarmark śmiechu".

Bocz.



Lena Żelichowska i Tadeusz Olsza w piosence „Jo-jo".

KATASTROFA W KOŚCIELE ŚW. KRZYŻA W WARSZAWIE.


Kościół św. Krzyża w Warszawie, 250 lat temu ufundowany przez króla Jana III. Sobieskiego.


Przenoszenie ofiar katastrofy w ubiegłą niedzielę do szpitala św. Rocha.
Zdjęcia Ag. Fot. „Światowida".

Czcigodna, dobrze znana nietylko w Warszawie, ale i w całej Polsce świątynia warszawska pod wezwaniem Św. Krzyża, obchodziła w ubiegłą niedzielę wielką uroczystość. Oto 250 lat upłynęło właśnie, jak wśród nielicznych wówczas jeszcze kościołów warszawskich stanął i ten przybytek Bogu poświęcony, odrazu gromadząc w swoich murach liczne rzesze wiernych. Niestety jednak ta podniosła uroczystość jubileuszowa kościoła Św. Krzyża zamącona została katastrofą, która w całem mieście bardzo silne wywołała wrażenie. Oto podczas solennego nabożeństwa, odprawianego przez ks. Bronisława Niemkiewicza, skupione w modlitwie tłumy usłyszały nagle huk, a potem krzyki rozpaczliwe. Szybko zorjentowano się, że w przylegającej do prezbiterjum kaplicy, na dość znacznej przestrzeni powierzchni zapadła się posadzka, skutkiem czego natłoczone w tem miejscu osoby spadły w dół. Ofiarom katastrofy, która — chociaż znaczna — na szczęście ograniczyła się tylko w swoich skutkach do zadania ran, padło kilkanaście osób, które przeniesiono natychmiast do położonego naprzeciw kościoła szpitala św. Rocha. Badania urzędu śledczego i budownictwa miejskiego, dokonane na miejscu, wykazały, że zapadnięcie się posadzki pozostaje w związku z przeprowadzonemi niedawno w świątyni Św. Krzyża robotami, celem zaprowadzenia ogrzewania centralnego.


Ostatnie zdjęcie śp. Marji Rudörferównej.
Fot. L. Waldberg, Borysław.

CHRZEST NA ŁOŻU ŚMIERCI

SENSACJA DROHOBYCKA.

W Drohobyczu, w jednym z głównych ośrodków zagłębia naftowego w Małopolsce wschodniej, zazwyczaj o niczem innem się nie mówi, jak tylko o nafcie, o warunkach jej wydobywania i zbytu, o zyskach, czy stratach przedsiębiorców naftowych, o doli i niedoli robotników kopalnianych. Czasem tylko, zwłaszcza w sezonie letnim, ktoś przybyły, albo jadący do Truskawca, wprowadzi w rozmowy drohobyckie inny temat, właściwie tylko trochę odmienny, bo wtedy jest mowa nie o nafcie, ale o... „naftusi".

Aż tu nagle zahuczało w całym Drohobyczu. A huk rozległ się nie od strony terenów naftowych, tylko od miejsca, które właściwie powinno być uosobieniem ciszy, od... cmentarza drohobyckiego. Już sam fakt, że chowano na nim samobójczynię, był dla cichego miasta nie byle jaką sensacją. Zwłaszcza, gdy chodziło tu o dziewczynę 25-letnią, która więc dzięki swej młodości mogła mieć nadzieję, jaką starzy ludzie zwolna tracą: że się doczeka lepszych czasów. Sensację spotęgował fakt, że samobójczynię pchnął do tego rozpaczliwego kroku zawód miłosny, więc motyw, który zawsze najwyżej do wyobraźni i uczucia szerokich mas społeczeństwa przemawia. Ale do rozmiarów sensacji na skalę, przerastającą nietylko Drohobycz, lecz i większe miasta, urosło to samobójstwo nieszczęśliwej dziewczyny przez to, że nad grobem jej rozpętała się walka o to, czy denatka należy do Kościoła katolickiego, czy też jest jeszcze żydówką. Żydówką była, gdy się kochała — zrazu myśląc, że szczęśliwie — żydówką była, gdy po zamachu samobójczym dostała się do szpitala, na wiarę katolicką przeszła jednak na łożu choroby, na krótko przed śmiercią. Postanowienia tego dokonała, jak stwierdzili naoczni świadkowie, w stanie zupełnej przytomności, to też pochowano na cmentarzu śp. M. Rudörferównę i jest nadzieja, że nad tem sensacyjnem wydarzeniem, które na jakiś czas roznamiętniło Drohobyczan, przejdą oni do porządku dziennego.


Nad mogiłą śp. Rudörferównej przemawia wśród rzeszy zebranych ks. prałat dr. Kotula. *Fot. L. Waldberg, Borysław*

»FRANCUSKA«
taniec najbliższego karnawału.

We Francji, a szczególnie w Paryżu budzi się ruch przeciwko tańcom egzotycznym. Zarówno bowiem tango, jak i najrozmaitsze charlestony i rumby zostały zapożyczone od ludów kolorowych. Tango jest więc tańcem argentyńskich metysów (pasterzy królów), tak modna zaś obecnie rumba przyszła z wyspy Kuby i objęła niemal cały świat we władanie.

Francuzi usiłują więc do dancingów i sal balowych wprowadzić nowy taniec, oparty na motywach klasycznych, który przypomina coś niecoś gawota i wolty i rondy prowansalskie, a nazwany został „francuską". Wynalazcą tego tańca jest p. Yves Dauton. Można zgóry przewidzieć, że taniec ten będzie efemerydą, która zgaśnie po kilku miesiącach życia. Ani bowiem tango, ani fox nie dadzą się tak łatwo zdetronizować.





Pokaz nowego tańca „Francuska", który ma zastąpić w najbliższym karnawale tak modne obecnie tango.

TAM, GDZIE URODZIŁ SIĘ FRYDERYK SZOPEN.

W odległości sześciu kilometrów od Sochaczewa (woj. warszawskie) znajduje się miejsce urodzenia Fryderyka Szopena, Żelazowa Wola. Nazwa tej wsi pochodzi od rodziny Żelazów, która w XVI wieku miała ją w posiadaniu. W początkach XIX wieku Żelazowa Wola należy do hr. Skarbków, poczem przechodzi na Towiańskich i Pawłowskich, aż wreszcie zostaje rozparcelowana. Przed wojną stał jeszcze w Żelazowej Woli jeszcze dwór murowany, z piętrową facjatą. Naprzeciwko niego była oficyna, w której przyszedł na świat Fryderyk Szopen w dniu 22 lutego 1810 r. Wkrótce potem pożar strawił dwór, oficyna zaś, która stała się własnością chłopa Szymaniaka, popadła w zupełną ruinę. W 1925 r. powstaje wśród ziemian sochaczewskich inicjatywa, aby oficynę tę od Szymaniaka wykupić, a dom odrestaurować i zamienić na muzeum. Po długich targach Szymaniak sprzedał pamiątkowy dom za 40.000 złotych. Obecnie dom jest już zupełnie odnowiony, trzeba jednak go umeblować, a na to niema pieniędzy. Ważnem także jest zakupienie okolicznych terenów, w ilości conajmniej sześciu morgów, aby dla domu Szopena stworzyć odpowiednie, kulturalne otoczenie. Pomimo ciężkich warunków, w jakich znajduje się całe społeczeństwo, nie należy wątpić, że poprze ono zamierzenia komitetu i przez datki i zapisy umożliwi doprowadzenie Żelazowej Woli do tego stanu, na jaki zasługuje ona, jako kolebka najsłynniejszego muzyka polskiego. Koncerty szopenowskie nie dały jeszcze dostatecznych funduszów.



Widok na rzekę Utratę w Żelazowej Woli. Fot. Kor.



Odrestaurowany dworek w Żelazowej Woli, w którym urodził się Fryderyk Szopen. Fot. Kor.

PRZED NOWYM LOTEM HAUSNERA.



P. Stanisław Hausner wraz z żoną w otoczeniu Komitetu przyjęcia w Buffalo z p. Fronczakiem na czele, oraz działaczy polskiej w strojach krakowskich i publiczności. Fot. M. Wrona, Buffalo, N. Y.

Sławny polsko-amerykański lotnik, p. Stanisław Hausner ma, jak wiadomo, niezłomną wolę dokonania w roku przyszłym przelotu przez Atlantyk i wylądowania w Warszawie. W tym celu zabiega usilnie o przygotowanie do tego śmiałego przedsięwzięcia samolotu, któryby nie zawiódł i wytrzymał próbę sprawności. W zabiegach pomaga mu Polonja amerykańska, składając chętnie datki na nowy aeroplan, który ma kosztować 30.000 dolarów i nosić nazwę „Polska". P. Hausner objeżdża w tym celu ośrodki polskie, w których rodacy witają go z otwartemi rękoma, słuchając jego opowiadań o żmudnych i długotrwałych przygotowaniach do pierwszego lotu i o przeżyciach w czasie przelotu. Z opowiadań tych okazuje się, że p. Hausner przez kilka lat pracował nad budową samolotu i kiedy ten był już gotowy i kiedy należało tylko napełnić go benzyną, firma, u której części składowe brał na kredyt, zażądała nagle zapłaty. P. Hausner, nie będąc w możności uiszczenia tej zapłaty, sprzedał samolot lotnikowi amerykańskiemu p. Boardman'owi, który dokonał na nim przelotu do Australji.

Między innemi odwiedził p. Hausner Polonję w Buffalo, która mu zgotowała owacyjne przyjęcie. Zawiązał się w tym celu komitet, na czele którego stanął p. dr. Fronczak, komisarz zdrowia m. Buffalo. P. Hausner przybył wraz z małżonką aeroplanem. Na powitanie miłych gości wzleciał na aeroplanie polski lotnik p. Kucio. Po wylądowaniu powitał bohaterskiego lotnika na polu lotniczem dr. Fronczak, poczem wręczyła mu kwiaty mała dziewczynka, H. Myszka. W imieniu żydów-Polaków powitał lotnika p. Morris Posmatur. Z pola lotniczego udano się do ratusza miejskiego, gdzie oficjalnie powitał naszego lotnika imieniem miasta zastępca majora miasta. Następnego dnia, po uroczystem nabożeństwie, odprawionem w kościele św. Jana Kantego, licznie zebrana Polonja udała się w pochodzie do sali Collegium, gdzie miały miejsce uroczyste przemówienia.

Pochód prowadził p. Jan Culkowski, komendant Amerykańskiego Legjonu na okręg buffalowski.

W czasie pochodu przygrywały orkiestry.

P. Hausner zamówił już w firmie Packard, w Detroit, motor Diesla do swojego nowego aeroplanu.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



KTO OTWORZY PARLAMENT NIEMIECKI? Pierwsze posiedzenie każdorazowego nowowybranego parlamentu niemieckiego, zagaja zgodnie z regulaminem najstarszy wiekiem poseł. W poprzednim parlamencie uczyniła to komunistka Klara Zetkin i wygłosiła przy tej sposobności wielką agitacyjną mowę. Obecnie najstarszym wiekiem posłem niemieckim jest generał Litzmann, liczy on bowiem 83 lat. Należy do partji narodowych socjalistów. Na początku wojny światowej był on komendantem III dywizji gwardji, na czele której której przerwał front rosyjski pod Brzezinami, w odcinku Łodzi i uratował w ten sposób dnia 25. XI. 1914 całą armję niemiecką od okrążenia i wzięcia do niewoli, razem z cesarzem Wilhelmem. Wynagrodzono go za to orderem Pour le Merite.





WĘGIERSKI POMNIK KU CZCI BOHATERÓW Z POD PRZEMYŚLA. Dnia 11 bm. nastąpiło w Budapeszcie odsłonięcie pomnika ku czci żołnierzy, poległych w czasie wojny światowej pod Przemyślem, w czasie dwóch oblężeń, a to w jesieni 1914 r. i przy wzięciu jej szturmem w lecie 1915 r. po ofensywie pod Gorlicami. Na zdjęciu ogólny widok pomnika i moment przemówienia gen. Tamasy.

MIGAWKI Z ALBANJI.



Durazzo, miasto portowe w Albanji. Na pierwszym planie typowe wozy albańskie na dwóch kołach, ciągnione przez woły.

Albanja, obejmująca 27.540 km. kw. obszaru i 1.003,068 mieszkańców, jest mało urodzajnym, górzystym i trudno dostępnym krajem. Jego strategicznie ważne położenie tuż u ciasnego wejścia na Adrjatyckie morze jest stałym powodem żywego zainteresowania się nim zarówno Włoch, jak i jeszcze bliżej leżącej Jugosławji. Być może nawet, że tym właśnie jugosłowiańsko-włoskim antagonizmom zawdzięcza Albanja wogóle swą niepodległość. Kraj jest pod względem kulturalnym bardzo cofnięty i w każdym kierunku mocno zaniedbany. Długoletnie rządy tureckie nie pozostały i tutaj bez głębszego wpływu, doprowadzając ludność do stopniowego zdziczenia, upadku i zubożenia. To też zarówno rolnictwo, jak przemysł i górnictwo stoją na najniższych stopniach rozwoju. Nie wszędzie nawet znany pług, przedstawia jeszcze do dziś dnia najpierwotniejsze jego formy.

Ludność nie jest zupełnie jednolitą, bo składa się na nią 41 proc. t. zw. Gegów, 35 proc. Tosków, 8 proc. Serbów, 7 proc. Zinzarów, 6 proc. Turków i 2 proc. Greków. Również i pod względem religijnym nie jest bynajmniej inaczej. Aż 66 proc. stanowią Mahometanie, 21 proc. przypada na greckich ortodoksów, a tylko 12 proc. na rzymsko-katolicką ludność. Stolicą kraju jest Tirana z 31.000 mieszk., z ważniejszych zaś miast Skutari (29.000), Korica (23.000), Elbasan (14.000) i Argyrokastro (11.000 mieszkańców). Najniedostępniejszą i najdzikszą jest Albanja północna ze swą ciekawą organizacją plemienną i z odwiecznymi, prymitywnymi zwyczajami. Panuje tu jeszcze dość wszechwładnie dzikie a bezlitosne prawo krwawej rodowej zemsty, którego ofiarą pada w niektórych okręgach corocznie połowa umierającej ludności męskiej. Co więcej żyje tam kilka najmożniejszych rodów albańskich, których wszyscy męscy członkowie nie umierają wogóle naturalną śmiercią.

W półn. Albanji mieszka ludność w większych zwartych wioskach, w środkowej przeważają już rzadsze i bardziej rozrzucone osiedla, na południu zaś spotyka się coraz więcej nieuprawnych obszarów rolnych a ziemia znajduje się tu w rękach niewielu tylko wielkich właścicieli ziemskich. Tu też jest najcięższem położenie albańskiego chłopa. Aż 2/5 plonów musi on corocznie oddawać swojemu panu, obok tego dostarcza różnych naturalnych płodów a niezależnie od tego odprawia i pańszczyznę.



Targ na węgiel drzewny w Tyranie.

Dopiero obecnie stara się nowy rząd o podniesienie i uniezależnienie wiejskiego ludu, widząc w nim zupełnie słusznie najważniejszą podstawę przyszłej pomyślności kraju.

Za to albańskie miasta i miasteczka przedstawiają o wiele weselszy i barwniejszy wygląd. Szarzyznę swego codziennego żywota lubi wieśniak albański urozmaicać sobie częstem odwiedzaniem prowincjonalnych targów. Jak wszędzie zresztą na Bałkanie stanowią one i tutaj centrum ludowego życia. A spotkać tu można zawsze całą tę dziwną a tak bajecznie kolorową mieszaninę rozlicznych albańskich typów. Ubogi chłop w Albanji niewiele ma wprawdzie do sprzedania, ale wszak nie sama tylko chęć sprzedaży bywa głównym celem częstego odwiedzania targów. Albańskie drogi są okropne, odległości od miast zazwyczaj bardzo znaczne, to też czas, do dnia, zanim prażyć zacznie słońce, móc zjawić się już w mieście. Ciągną też liczne staroświeckie, wołami zaprzężone wozy, na małych obładowanych osiołkach jadą senni mężczyźni a tylko kobiety odbywać muszą przeważnie pieszo swe uciążliwe wędrówki.

Na rynkach dostać można tymczasem już wszystkiego, na co tylko stać wytwórczość tego ubogiego kraju. Bydło, cebula, czosnek, sery, masło, wzorzyste słomiane maty, piękne krajowe kilimy i słynne albańskie wyszywane pantofle, części ludowej garderoby itd. wszystko to czeka na żądną kupna publiczność, która w swych barwnych narodowych strojach krzycząc i giestykulując stara się nabyć jak najtaniej upragniony towar.

Ale już około południa pustoszeją powoli targi, zaczyna ubywać po trochę publiczności, handlarze pakują niesprzedany towar, zwijają stopniowo swe uliczne kramy i obliczają odniesione zyski. Wieśniacy nie zabierają się jeszcze do powrotu, ale w długich szeregach obozują na ulicach, wypoczywając w cieniu domów i drzew i czekając aż ustępujący żar słoneczny uczyni podróż znośniejszą i przyjemniejszą. Przeciągają się miłe pogawędki, urozmaicane czasami nagłą i niespodziewaną bójką, bo wieśniak albański znany jest ze swej krewkości i nie darmo chodzi od stóp do głów uzbrojony, nie rozstając się z bronią nawet podczas rolnej pracy. Nadchodzi jednak wkońcu czas powrotu a wówczas zaczyna się ponownie ruch i rozgwar w mieście. Długie sznury odjeżdżających wozów ciągną zpowrotem do swych odległych osiedli, ginąc powoli w zakrętach głębokich jarów i dolin, lub ciągną coraz wyżej w góry do swych ustronnych, nieraz — zda się — niedostępnych wprost siedzib.

ml.



Wojsko albańskie.



STUCK OŻENIŁ SIĘ. Znany kierowca automobilowy Hans von Stuck, który wielokrotnie brał udział w wyścigach automobilowych także w Polsce, jak np. w wyścigu tatrzańskim i lwowskim, ożenił się dnia 17 bm. z Pauliną Reznicek, doskonałą tenisistką i literatką.



CEBULKI HJACYNTOWE POD OBUCHEM KRYZYSU. Pali się w piecu kawą, niszczy się olbrzymie zapasy pszenicy, która w Kanadzie jest tańszą od trocin, łowi się sardynki i wrzuca z powrotem do morza, obecnie zaś kolej przyszła na cebulki hjacyntowe, które stanowią ważny artykuł eksportu holenderskiego. Holandja słynie bowiem z hodowli kwiatów, a przedewszystkiem tulipanów i hjacyntów. Ponieważ wskutek kryzysu coraz trudniej o zbyt tych cebulek — postanowiono ich ogromne zapasy zniszczyć, to znaczy poprostu zatopić je w wodzie. Moment ten przedstawia fotografja.



Z PŁYWALNI DO FILMU. Za przykładem Jonny Weismüllera, rekordzisty świata, który zdobył olbrzymi sukces w filmie „Człowiek-małpa", gdzie odgrywa rolę Tarzana, poszedł także znakomity pływak amerykański „Buster" Crabbe, właściciel pięciu rekordów świata i 35 amerykańskich. Jako partnerka jego w filmach egzotycznych będzie występować pływaczka Frances Dee (na zdjęciu).



W SZWAJCARJI SPOKÓJ. W Szwajcarji nastąpiło już uspokojenie umysłów i Genewa wróciła do normalnego wyglądu, a restauratorzy i hotelarze tamtejsi zacierają ręce, że znowu odbędzie się tam nowe posiedzenie Ligi Narodów. Wprawdzie przestały te posiedzenia być już wielką atrakcją światową, ale zawsze jeszcze powodują one pewne ożywienie nad Lemanem. Na zdjęciu pogrzeb ofiar, które padły w starciu pomiędzy socjalistami a policją w Genewie. Pogrzeb ten odbył się w zupełnym spokoju. Posuwał on się wśród zwartego szeregu publiczności, (na zdjęciu), która w milczeniu oddawała hołd tym, którzy padli w bratobójczej walce.



DOBRY POMYSŁ WIEDEŃSKI. W Wiedniu na skrzyżowaniach ulic, na t. zw. „grzybkach", gdzie pełnią służbę policjanci, regulujący ruch, sporządzono dla nich daszki, pod które mogą się chronić w razie deszczu. Pomysł to bardzo szczęśliwy. Możeby o czemś podobnem pomyślano i w większych miastach polskich?

DOMY KRAKOWSKIE, W KTÓRYCH MIESZKAŁ I TWORZYŁ STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Uroczystości, jakie Kraków urządza z powodu dwudziestopięciolecia śmierci Stanisława Wyspiańskiego, poruszyły umysły krytyków i historyków literatury. Bibljografja analityczna i krytyczna dzieł poety wzbogaca się, tak samo jego twórczość malarska przypomina się miłośnikom plastyki. Z tego też powodu nieobojętnym wyda się przyczynek do biografji Wyspiańskiego: wykaz domów, w których wielki poeta i malarz mieszkał w Krakowie — i tworzył.

Przy ulicy Krupniczej stoi do dziś dnia mała kamieniczka jednopiętrowa z szeroką sienią — oznaczona liczbą orjentacyjną 26 (dwudziesta szósta), a w hipotece: liczbą spisową 14. Kamieniczka ta należała w połowie XIX w. do mojego dziadka, Mateusza Rogowskiego. Obok tej kamieniczki posiadał on jeszcze szereg parceli przy ul. Krupniczej. Po roku 1863 rząd austrjacki skonfiskował Mateuszowi Rogowskiemu cały majątek za udział w powstaniu (na wielkich parcelach i ogrodach jego odbywały się musztry powstańców, a w domu przygotowywano broń i amunicję), a zostawił mu jedynie dom, w którym dziadek mój z rodziną swoją mieszkał.

W tym domu, córka Mateusza, Marja Rogowska poznała i zaślubiła artystę-rzeźbiarza — Franciszka Wyspiańskiego. Po ślubie państwo Franciszkowie zamieszkali w tej kamieniczce na pierwszem piętrze, na tak zwanej „górce“, gdzie zajęli dwa pokoiki. Tam przyszedł na świat (r. 1869) Stanisław Wyspiański.

Jakoś w kilka lat po śmierci Mateusza Rogowkiego, babka moja sprzedała tę posesję przyjaciółce swojej — Józefowej Szujskiej, która następnie sprzedała tę kamienicę hr. Stanisławowi Tarnowskiemu, a ostatnio od syna jego kupił ją prof. Józef Mehoffer, i on to w niezmienionej już postaci dom urodzenia Stanisława Wyspiańskiego obecnie posiada.



Stanisław Wyspiański w 6-tym roku swojego życia. Fotografja współczesna.

Franciszkowie Wyspiańscy z owego domu przy ul. Krupniczej przenieśli się z maleńkim Stasiem do domu Długosza przy ul. Kanoniczej. Tam przyszedł na świat drugi synek — Tadeusz, młodszy brat poety. Umarł on w czwartym roku życia na zapalenie mózgu. W domu Długosza pięcioletni Staś z trzechletnim Tadziem bawili się często w towarzystwie ciotecznego rodzeństwa — Zenona Parviego (później autora kilku sztuk ludowych, z których „Knajpa“ zyskała największą popularność) i Cecylji Parviównej — w dużym ogródku i bardzo obszernej pracowni ojca poety, z której okna wychodziły na Zamek. A zabawy te musiały wyglądać barwnie i obrazowo, skoro chłopcy Wyspiańskiego chodzili zawsze ubrani z chłopska, po krakowsku: matka — poetyczna i wrażliwa natura — ubierała swe dzieci w sukmanki.

Tam — w domu Długosza — zmarła matka Wyspiańskiego na gruźlicę w sierpniu, w roku 1874, a sześcioletni Staś pozostał w domu swego ojca pod opieką babki (matki ojca) i siostry ojca, p. Albiny Wyspiańskiej. Ciotka Janina Rogowska, której ślub odbył się w domu rodziców moich — wzięła Stasia na wychowanie (w myśl ostatniej woli matki poety) dopiero w parę miesięcy po swem wyjściu zamąż za Kazimierza Stankiewicza. Kiedy Wyspiański wszedł w dom Stankiewiczów, był już uczniem szkoły Larischa.

Stankiewiczowie mieszkali wówczas w istniejącej do dziś dnia kamienicy przy ul. Kopernika (L. 1) — obecnie narożnik z ulicą Potockiego. Stamtąd chodził Wyspiański do gimnazjum. Jednak najbujniejsze lata gimnazjalne spędził u Stankiewiczów, w mieszkaniu, znajdującem się w zburzonym już hotelu Centralnym (dziś na tem miejscu stoi Bank Polski) — wejście zaś do części mieszkalnej owego gmachu było od ulicy Zacisze. Pokój, w którym Wyspiański mieszkał, był narożny, a okno wychodziło na planty



Kamienica przy ul. Krupniczej L. 26, w której urodził się Stanisław Wyspiański.

i Barbakan. Z tego okna malował Wyspiański dwa olejne obrazy — widoki Barbakanu i nowo wystawionego Teatru miejskiego, którego kopułę widział ponad wierzchołkami drzew plant. Obrazy te ofiarował później siostrze mojej Marji Kreinerowej, która wówczas pozowała mu do obrazu Madonny. Obraz ten znajduje się dziś w kaplicy zakładu Helclów.

Były to lata, kiedy Wyspiański wyjeżdżał zagranicę.

W lipcu roku 1895 wujostwo Stankiewiczowie wyprowadzili się z Zacisza na ulicę Kolejową pod l. 1 — i tam zajęli mieszkanie, istniejące jeszcze dziś na parterze (na prawo). Były to więc już czasy bujnego życia twórczego poety. U Stankiewiczów, w jednym pokoju z Wyspiańskim mieszkał wówczas zmarły później tragiczną śmiercią, Kazimierz Brudzewski — kolega i przyjaciel Stanisława. W połowie sierpnia zmarł tu wuj, wychowawca i opiekun Wyspiańskiego — Kazimierz Stankiewicz.

W październiku roku 1895 przeniosła się ciotka Stankiewiczowa do domu pod l. 10 przy ulicy Poselskiej. Wyspiański mieszkał tu do jesieni roku 1899 — przeżywał dalszy świetny okres swojej twórczości, tak malarskiej jak i poetyckiej. Tu kończy „Legendę“ (I), jak również „Warszawiankę“, pisze „Klątwę“, „Lelewela“, kończy „Meleagra“, oraz „Protesilaosa i Laodamję“.



Kamienica przy ul. Krowoderskiej L. 79, w której mieściła się pracownia Stanisława Wyspiańskiego, na drugiem piętrze, w pokoju z balkonem.

Przy ulicy Poselskiej mieszkała wówczas u ciotki Stankiewiczowej druga siostra moja (ś. p. Felicja Mrozicka) i tam Wyspiański rysował pociechu jej portret, który nazwał „Dziewczynką z fjołkami“.

Mieszkanie to przy ulicy Poselskiej jest już dziś zrekonstruowane — mieszczą się tam obecnie biura magistratu



Dom Długosza, pod Wawelem w Krakowie, w którym umarła matka Wyspiańskiego w 1874 r., gdy Wyspiański miał sześć lat.

W roku 1889 przeniósł się Wyspiański do własnej pracowni — dotychczas zajmował on zawsze jeden z pokoi mieszkania wujostwa Stankiewiczów — przy placu Marjackim pod l. 9.

Powtarzam: pod liczbą dziewiątą, gdyż szerzą się już dziś bałamuctwa, od których nie jest wolny nawet komitet uczczenia 25-tej rocznicy śmierci poety, oznaczający mylnie (?), że Wyspiański mieszkał tam pod liczbą ósmą.

Pamiętam tę pracownię na drugiem piętrze: wchodziło się do niej ze sionki po jednym schodku wdół, na lewo od wejścia były dwa okna — widok na plac Marjacki i na kościół Najśw. Panny Marji — pod oknem stół, skrzynie i paki — koło ścian rulony papieru — przy ścianie naprzeciw okien łóżko, przysłonięte kotarą, zwisającą od sufitu — na framugach przy oknach błyszczały półksiężyce i słońca z blachy mosiężnej...

Tu mieszkał Wyspiański przeszło rok. Pisze tu „Sędziów“ (wykończył ich później) i „Legjon“.

Tu ożenił się.

Stąd przenosi się do kamienicy przy ul. Krowoderskiej pod l. 79. Jest to już najświetniejszy okres jego twórczości. Z tej pracowni narożnej, obszernej, ciemno-szafirowej, słonecznej, na drugiem piętrze, z której roztaczał się szeroki widok, oparty aż o kopiec Kościuszki (szereg pejzaży malował Wyspiański ze swego okna), wyszło „Wesele”, „Bolesław Śmiały”, „Skałka”, „Wyzwolenie”, „Akropolis”. Dom ten, a zwłaszcza pokój, w którym Wyspiański tworzył — zachował się do dnia dzisiejszego.

Stąd wyjechał Wyspiański z całą rodziną swoją do Węgrzec (pod Krakowem) — i tam kończy „Sędziów”. Ale domek, w którym poeta mieszkał, nie istnieje już dzisiaj: w czasie wojny uległ całkowitemu zniszczeniu.

W roku 1907 dnia 28 listopada umiera Wyspiański w sanatorjum dr Gwiazdomorskiego przy ulicy Siemiradzkiego w Krakowie.

Antoni Waśkowski.



Stanisław Wyspiański na łożu śmierci w sanatorjum dra Gwiazdomorskiego przy ulicy Siemiradzkiego w Krakowie.

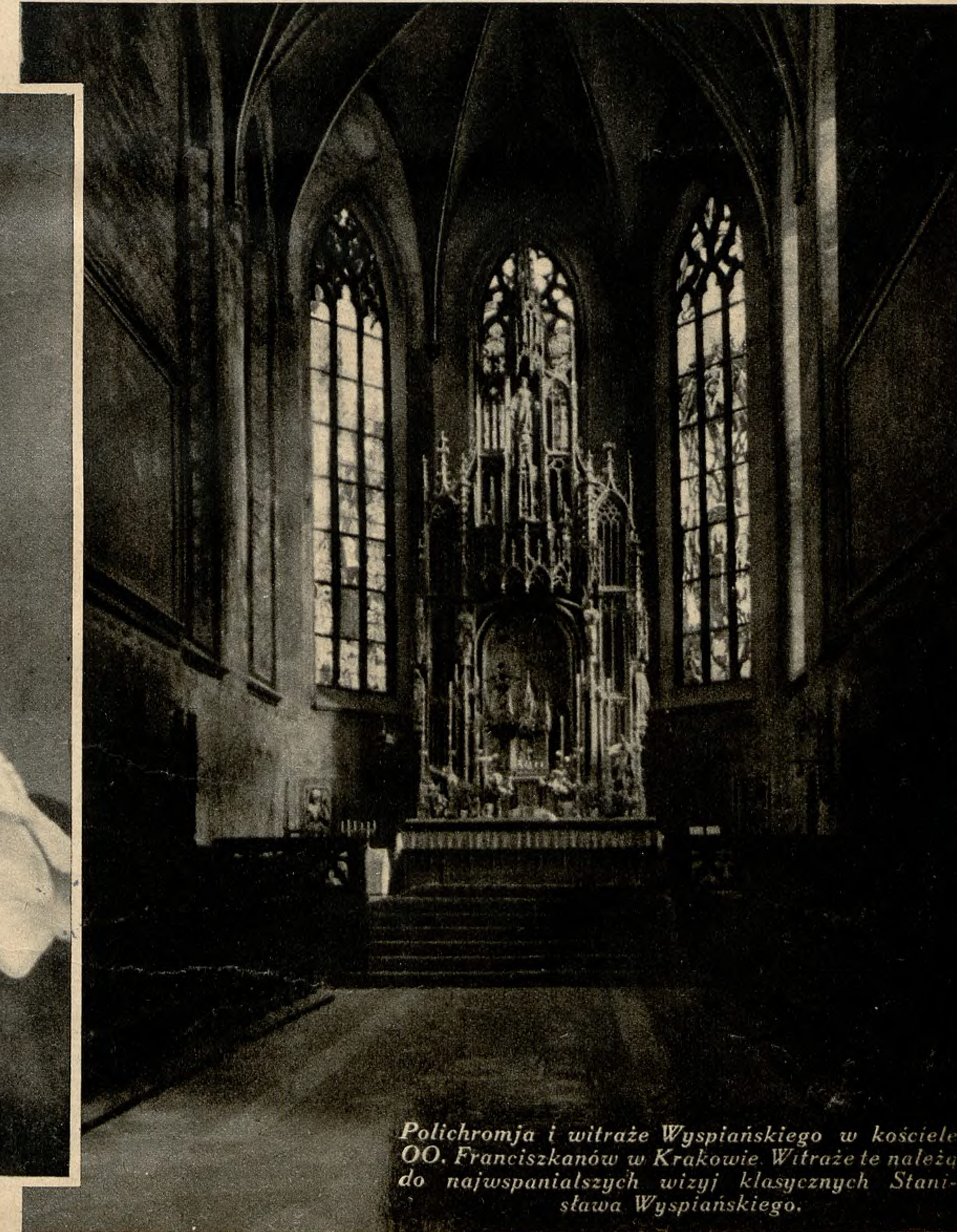


Sarkofag Wyspiańskiego w grobie zasłużonych na Skałce w Krakowie.



Ciotka.

Matka Stanisława Wyspiańskiego.



Polichromja i witraże Wyspiańskiego w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie. Witraże te należą do najwspanialszych wizyj klasycznych Stanisława Wyspiańskiego.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI JAKO TRAGEDJOPISARZ.



Scena z „Wyzwolenia“ Wyspiańskiego. Na pierwszym planie Osterwa w roli Konrada.





Scena zbiorowa (obraz VI-ty) z „Legionu“ Wyspiańskiego.



Ludwik Solski w genjalnej swojej kreacji starego wiarusa w „Warszawiance“, pastel Wyspiańskiego z 1904 r. Zjawienie się wiarusa na scenie w latach niewoli pobudzało publiczność do płaczu.

Ćwierć wieku trzeba było na to, by uzyskać odpowiednią perspektywę historyczną, z którejby można było należycie ocenić stanowisko Stanisława Wyspiańskiego w naszem tragedjopisarstwie. Dziś już nie pamięta się o tem, że taki znawca teatru, jak Tadeusz Pawlikowski, wystawiając w Teatrze krakowskim 29 listopada 1898 *Warszawiankę*, traktował ją na równi z *Nocą Belwederską* — Staszczyka, jako okolicznościowy punkt programu w „wieczorku patrjotycznym“, a dyrektor Józef Kotarbiński przystępował do przedstawienia *Wesela* (16 marca 1901 r.) z poczuciem ogromnego ryzyka. Na drugi dzień po tej premjerze obudził się 32-letni poeta, na którego *Legendę* (1897), *Meleagra* (1897) i *Protesilaosa* (1899) prawie nie zwrócono uwagi, a *Lelewela*, granego w Krakowie w r. 1899, *Klątwę* (1899) i *Legjon* (1900) przyjęto dość obojętnie — sławnym. Najwymowniejszym głosicielem tej sławy był Kazimierz Tetmajer, jako autor artykułu p. t. *Wielki poeta*, ogłoszonego na wiosnę r. 1901 w „Tygodniku Ilustrowanym“. Pisał on między innemi: „*Wesele* jest tragedją, która pod względem inteligencji twórczej wynosi Wyspiańskiego tak ponad wszystko bez wyjątku doокoła, jak wieża św. Szczepana ponad dachami domów okolnych“. Wprost przeciwnego zdania byli dwaj przedstawiciele starszego pokolenia: H. Sienkiewicz i J. Weyssenhoff, ale młodzież nie posłuchała ani ich, ani historyka literatury„ Stanisława Tarnowskiego, lecz uznała w *Weselu* najgenjalniejszy głos „Młodej Polski”, wyrywającej się z opłotek patrjotyzmu — wieczorkowego do jakiegoś czynu.

Przez sześć ostatnich lat swego życia chodził Wyspiański głównie w aureoli *Wesela*, bo ani *Wyzwolenie* (1902), ani *Akropolis* (1904), ani *Noc Listopadowa (1903)* nie wstrząsnęły już tak słuchaczami i czytelnikami, jak *Wesele*, a i sceniczny sukces *Bolesława Śmiałego* (1903) nie przekroczył granic *d'un succes d'estime*. W tej „estymie” tkwiło dużo poczucia, że się ze wspomnianych dramatów nie wszystko rozumie. Cóż dopiero, gdy poeta *Bolesława Śmiałego* uzupełnił i „objaśnił“ — *Skałką (1905)*. Tu już publiczność zaczęła ubolewać, że choroba odbiła się nieszczęśliwie na twórczości poety, a za majaki chorego uznano i *Achilles* (1903) i *Powrót Odysa* (1907). Wydanych w r. 1907 *Sędziów* uważano (słusznie) za dawniejsze dzieło, napisane w sąsiedztwie *Klątwy*.

Dopiero przedstawienia pośmiertne nawracały coraz szersze rzesze do poglądów, głoszonych od r. 1902 przez Wilhelma Feldmana w „Piśmiennictwie polskiem ostatnich lat dwudziestu“ (potem we „Współczesnej literaturze polskiej“), a coraz to nowe studja i monografje wyjaśniały coraz to lepiej tekst i zawartość całej puścizny Wyspiańskiego tak, że w dziesięciolecie śmierci (1917) nie wahano się go już stawiać tuż obok Juljusza Słowackiego, uznanego za największego genjusza sceny polskiej, w dwudziestolecie (1927) zdumiewano się nad coraz bardziej uświadamianą — aktualnością jego twórczości, przeciwstawianej przebrzmiewającej twórczości romantyków, a dziś, w dwadzieścia pięć lat po śmierci, gdy nawet rozmowa Konrada z Maskami w *Wyzwoleniu* stała się zrozumiałą dla każdego inteligenta, nie wahamy się uznać go za największego tragedjopisarza polskiego, przyznać mu w tragedji takie miejsce, jakie w komedji zajmuje bezspornie Aleksander Fredro.

Kult Słowackiego po najwyższem natężeniu podczas sprowadzenia jego zwłok na Wawel — opada, a przedstawienia *Kordjana, Mazepy, Fantazego* nie podnoszą go tak, by teatry śmiały liczyć na powodzenie *Balladyny i Lilli Wenedy*. Natomiast kult Wyspiańskiego z każdym rokiem wzrasta, czego dowodzą nietylko liczne apostrofy liryków, zwrócone do cieniów poety, ale i ilość przedstawień i ich resonans u publiczności i krytyki. Dziś już jasno widzimy, że poeta, który jako *Daniel* (1893) czuł w swoich słowach „*moc, co pokruszy pęta — co państwo wskrzesi znów*“, zwalczywszy w szeregu dramatów od *Warszawianki* do *Wyzwolenia* upiory tradycji romantycznej, odbierającej narodowi zdolność do czynu, uprzedził w *Akropolis* zmartwychwstanie Polski i przez usta Dawida ogłosił jej Boskie przykazanie:

Oraczu patrz, by lemiesz czyj
w skraj ziemi się nie worał!
Bogu się ciesz, w narodzie żyj
żywota rzeźki choral!

Oczywiście nie sama ideologja życia, przeciwstawiona romantycznej ideologji śmierci, wynosi go ponad Słowackiego, ale także oryginalna forma dramatu, stworzona z tradycyj szopki krakowskiej jako spełnienie żądanego przez Mickiewicza dramatu wizyjnego słowiańskiego. Ta swojskość i oryginalność formy, mieszczącej w sobie walkę najżywotniejszych sił duszy i sumienia narodowego, walkę wyrażoną w żywych osobach, które są zarazem symbolami idei, w języku tak muzykalnym, jak pieśń ludowa, a tak barwnym, jak tęcza na niebie, stawia go na najwyższym stopniu teatru narodowego. Europa zdoła kiedyś ocenić chyba tylko jego cztery dramaty greckie, a przedewszystkiem obie tragedje na tematy — ogólno-ludzkie: *Klątwę* i *Sędziów*. My, Krakowianie z tem większym zapałem głosimy sławę największego tragedjopisarza polskiego, że czujemy jego najściślejszą łączność z podłożem krakowskiem, z tą atmosferą historyczną, klasyczną, teatralną i obchodowo-narodową, bez której powstania jego dzieł niepodobna sobie wyobrazić.

Tadeusz Sinko.



Scena z aktu II-go „Akropolisu“ Wyspiańskiego, w inscenizacji Teatru Miejskiego w Krakowie. Ten dramat Wyspiańskiego, głęboki wyraz jego ideologji, łączy oryginalnie pierwiastki antyczne z polskiemi.



Znakomita artystka Ordon-Sosnowska, jako Krasawica w dramacie Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały“. Rysunek Wyspiańskiego ze zbioru radcy Franciszka Macharskiego w Krakowie.



Końcowa scena zbiorowa z „Wesela“ Wyspiańskiego. Goście weselni stoją zasłuchani w tętent koni. Za chwilę zjawi się Chochoł, wygramoli się na ławę, ujmie skrzypce w ręce i zacznie grać, wszyscy będą się kręcić sennie, jakby zahipnotyzowani. Scena ta należy do najtragiczniejszych i najsilniejszych w całej dramatycznej twórczości Wyspiańskiego.



Obraz IX-ty z „Nocy Listopadowej“ Wyspiańskiego. Dekoracja przedstawia theatrum Stanisława Augusta.



Scena z „Klątwy“ Wyspiańskiego. W dramacie tym najbardziej zwartym, dotykającym problemów ogólnoludzkich: winy i kary, osiągnął Wyspiański najwyższy swój wyraz artystyczny.

GENJUSZ MALARSKI ST. WYSPIAŃSKIEGO.

Wyspiański rozpoczął swoją twórczość jako malarz, jako plastyk. Nie przeszedł od literatury do malarstwa, ale odwrotnie od malarstwa do literatury. Dlatego każda myśl jego pisana, każda idea literacka przybiera u niego formę bryły plastycznej, ale malarstwo jego nie ulega inspiracji literackiej.

Sztuki jego, jak każdego wielkiego artysty nie można klasyfikować, zaliczać do kierunków.

Indywidualność jego wyprzedza epokę i otwiera nowe horyzonty.

Ale wszystkie te wpływy ułatwiają mu tylko wydobycie tego, co tkwi w jego własnej, przebogatej duszy, w której jak w skarbach Sezama, które namalował, tkwiły nieprzebrane skarby.

I w której tkwił także przedewszystkiem ten głęboki kult dla natury, z której czerpał tyle poczynając od drobnego polnego bławatka aż do płomieni piorunów.

W duszy genialnego artysty, każde najmniejsze nawet uderzenie, może wydobyć drzemiące w nim nieświadome potęgi, może wyzwolić nieznane siły.

W pracy, razem z J. Mehofferem, przy polichromji Matejki w kościele Marjackim zetknął się Wyspiański z dekoracją, z witrażem średniowiecznym. Odtąd będzie ta idea stale u niego żywa, będzie mu zawsze towarzyszyć. Uczyni z niego jednego z wskrzesicieli malarstwa dekoracyjnego u schyłku dziewiętnastego wieku w Polsce.

Konkurs na witraże do katedry lwowskiej, Śluby Jana Kazimierza i Polonja zapalą jego młodzieńczą wyobraźnię. Ma lat ledwo dwadzieścia pięć, kiedy wykonuje to wielkie dzieło. Śluby Jana Kazimierza pojęte są jeszcze po Matejkowsku, ale w Polonji jest już cały sobą.

Doszedł do tego dzieła po dwu latach zaciekłej pracy, po wykonaniu mnóstwa szkiców, studjów, akwarel, pasteli i rysunków. Wreszcie udało mu się po raz pierwszy w sztuce polskiej, od czasów Wita Stwosza, podporządkować wszystko — kompozycję, kolor, rysunek, swojej wewnętrznej uczuciowości, stworzyć swój własny styl.

Jak strofa odpowiada strofie w hymnie, tak w tym hymnie poświęconym rezygnacji, rytm linji kwiatów odpowiada rytmowi linji wyciągniętych ku niebu z rozpaczą rąk, linjom omdlałej Polonji linje otaczających ciał.

Wszędzie linje, które się zmagają, które się prężą, kurczą, plątają, dźwigają i ciążą. Barwy, które się wdzierają w głąb oka i z których dobywa się jeden krzyk grozy.

Potęga samych linji i moc suggestywna koloru.

I nie ma w tem nic z literatury. Atmosfera tragiczna wypowiedziana czysto plastycznymi środkami.

Dzieło przyjęto ze śmiechem i odrzucono.

Dopiero w witrażach franciszkańskich i polichromji do kościoła Franciszkanów choć w części dano Wyspiańskiemu zrealizować jego projekty.



Apollo razi grotami pomoru (ilustracja do Iljady).



„Róże" — studjum do polichromji (pastel).

Skomplikowane wpływy działają na rozwój tej sztuki. Kraków, Matejko, gotyk Wita Stwosza krzyżują się z sztuką grecką, prymitywami, quatrocentem włoskiem i gotykiem francuskim. Pociąga go przedewszystkiem ekspresyjna linja u malarzy, więc bliższym mu jest Dürer, Mantegna, Ghirlandaio, niż Rembrandt czy Rubens. Z malarzy współczesnych bliższym mu będzie Puvis de Chavannes i Gauguin, niż Manet i Claude-Monet.

Ale wszystkie te wpływy ułatwiają mu tyl- [ciąg dalszy na górze]

Tę dramatyczną siłę ekspresji linji i koloru, obok Polonji, osiąga potem Wyspiański w witrażach wawelskich, Świętym Stanisławie, Kazimierzu Wielkim i Henryku Pobożnym i w rysunkach do Iljady.

Dla Wyspiańskiego linja jest potężnym środkiem do wypowiedzenia własnej uczuciowości. Ale linja u Wyspiańskiego nie jest nigdy kaligraficzna, pusta i pozbawiona treści. Zawsze buduje bryłę, służy do wyrażenia ruchu, ekspresji. Jest niesłychanie suggestywna a w końcowym rezultacie zawsze dekoratywna, wyrażająca pewien ornament na płaszczyźnie, bez względu na to, czy to będzie ruch dziecka, przechylonego nad stołem, czy sploty kwiatów na ścianie kościoła.



„Stań się" (Bóg Ojciec) — projekt witrażu do kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie.

Tak samo kolor. Wyspiański nie szuka w kolorze kontrastu światła i cienia, nie szuka atmosfery powietrznej. Dla niego kolor jest potężnym środkiem, prawie że muzykalnym, pełnym tajemniczej, mistycznej, zagadkowej siły w swych zestawieniach na płaszczyźnie.

Wyspiański upraszcza go prawie do lokalnych tonów, ale klucz do tych zestawień tkwi w jego głębokiej, podświadomej intuicji.

E. Delacroix powiada, że między malarzami widzi prozatorów i poetów. Jedni kopjują niewolniczo naturę, drudzy z niej czerpią, jak z bogatego słownika, aby wyrazić swoją własną treść wewnętrzną.

Wyspiański należy do tych poetów w znaczeniu twórczem, ale nie jest nigdy literatem malującym. Kiedy maluje dzieci bawiące się, wątłe ciała dziewcząt o twarzach melancholijnych i smutnych spojrzeniach, portrety ludzi, którzy mu tyle mówią o swem życiu rysami twarzy — zawsze maluje jakąś ideę plastyczną, wyrażoną ruchem, układem rąk i zawsze pozostaje plastykiem. Wybiera najbardziej typowy dla danego indywiduum wizerunek i zawsze charakteryzuje indywidualnie daną osobę. Tem się różni od Puvisa de Chavannes i Gauguina, którzy upraszczają rysunek w kierunku czysto dekoracyjnej harmonji.

Podobnie jest z pejzażami Wyspiańskiego.

W Paryżu zetknął się Wyspiański z impresjonizmem.

Ale metoda, prawie że naukowa, impresjonistów, która analizuje światło i kolor i rozkłada go na barwy komplementarne, nie wystarczała Wyspiańskiemu. Dla niego impresjonizm był tylko środkiem w odniesieniu do bogatych możliwości kolorowych, zmieniających kolor lokalny pod wpływem światła. — Wyspiański chce czegoś więcej. Mówi sam o Puvisie de Chavannes, że „tworzy w takt własnej myśli" „nie szukanej w naturze", „ale wysnutej z głowy artysty". Podobnie tworzy swe pejzaże Wyspiański, nie kopjując natury, ale na jej podstawie, razem z nią. Tworzy, jak każdy wielki artysta, w takt własnej myśli, w takt własnego uczucia.

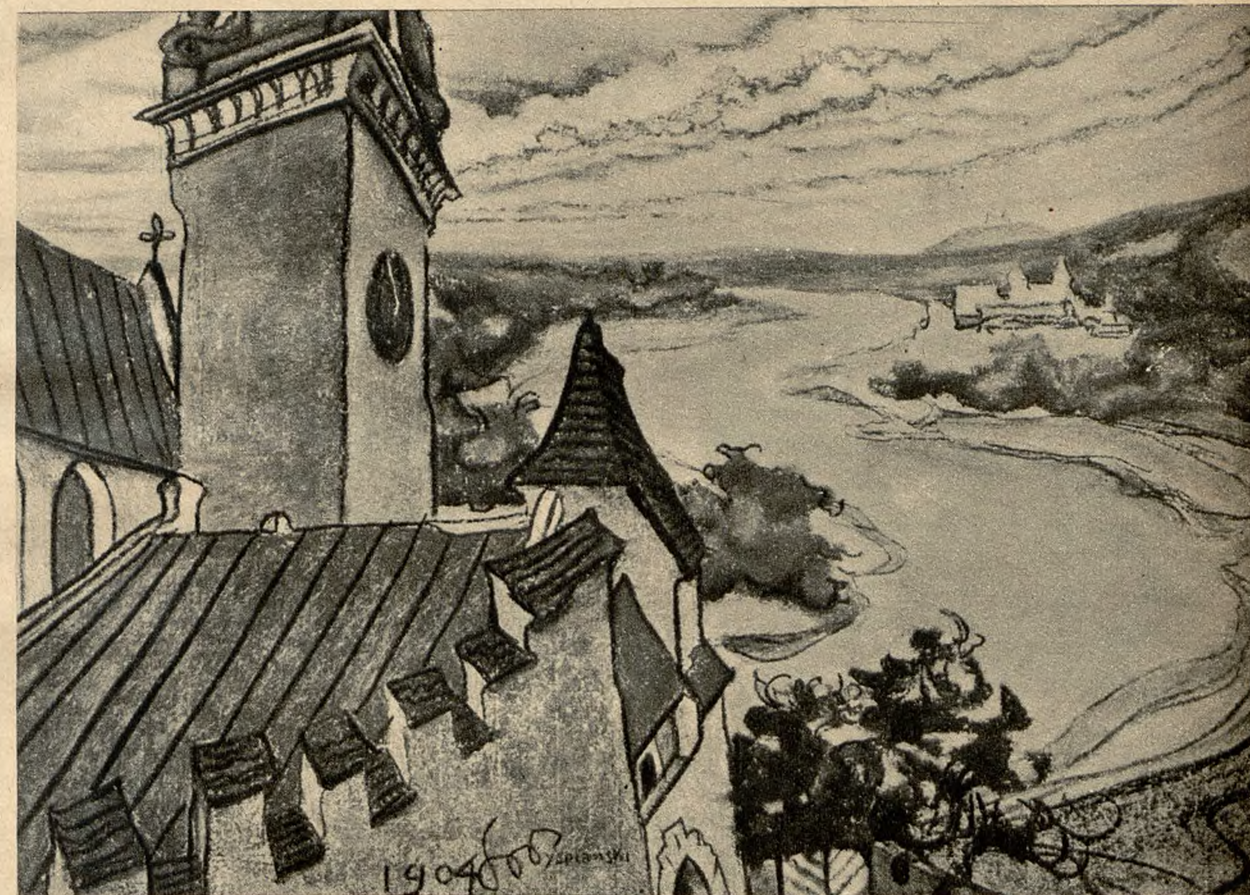
A ta myśl jest u niego zawsze wielka, uczucie zawsze potężne. Kiedy maluje chaty w Grębowie, to jakby sięgał pamięcią do dawnych, prasłowiańskich zagród — prostych i dostojnych. Kiedy maluje Wawel i Skałkę, to jakby patrzał na stare, piastowskie grodzisko z wijącą się w dali Wisłą.

Wyspiański chce dać w pejzażu, zachować od zapomnienia tę nieuchwytną poezję, dla której słowa byłyby zbyt twarde, chce unieśmiertelnić tę jedną chwilę w naturze, która mija. Chce udzielić sobie podobnym tego, co mu wypełnia serce i duszę.

A na dnie jego duszy tkwi dramat.

Połączyć ten dramat wewnętrzny z dramatem linji drzew, smaganych wiatrem zadymki śnieżnej, lub jesiennej szarugi, z dramatem barw o zachodzie słońca — osiągnął to pod koniec życia w serji pejzażów z Kopcem Kościuszki, malowanych w latach, kiedy zmożony chorobą nie wychodzi z pracowni i kiedy widok z okien pracowni jest mu jedynym tematem pejzażu, malowanego w kolejnych porach idącego dnia.

Od impresjonizmu, jakiż potężny to krok do ekspresji, w której głęboki liryzm poety wybucha płomiennym hymnem na cześć natury.



Pejzaż. Widok na wieżę Katedry wawelskiej i Wisłę (pastel).

Z gorączkową nerwowością wprowadza całą pasję w rysunek drzew, ziemi, obłoków, w patetyczne napięcie kolorów.

Pejzaże te, dla sztuki polskiej wielka to data. W nich wskazał Wyspiański na niewyczerpane możliwości natury. Tej naturze, jak modlitwy, dzieła swe poświęcił i w nich, w harmonjach ich, wibruje hymn na cześć wieczystych tajemnic natury.

* * *

Sztuka Wyspiańskiego nie mogła być za życia zrozumiana. Patrzano wtedy na sztukę za bardzo oczyma naturalistycznemi, szukając perspektywy w obrazach, z ręką w kółko zwiniętą i przyłożoną do oka.

Zapomniano o tem, że sztuka i natura, to dwie różne rzeczy, że dzieło sztuki jest światem zamkniętym w sobie, mającym swoje własne prawa, niezależnie od naśladownictwa.

Potrzeba było wielu lat i długiej ewolucji pojęć, zanim to uświadomienie przyszło.

Potrzeba było genjuszu wielu wielkich artystów, którzy przypomnieli, że sztuka ma swoje własne twórcze prawa.

Jednym z nich był Stanisław Wyspiański.

I dlatego dzieła jego dziś dla nas takie żywe i takie nam dziś bliskie.

Stanisław Świerz-Zaleski.

W OBRONIE PIĘCIU MURZYNÓW SKAZANYCH NA KARĘ ŚMIERCI.



Tłumy demonstrujące przed Kapitolem w Waszyngtonie przeciwko straceniu pięciu murzynów, zasądzonych na śmierć za gwałt na białej kobiecie. Keystone — Berlin.

Murzyni w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w państwie chlubiącem się, że posiada najliberalniejszą na świecie konstytucję, są traktowani jak obywatele nie drugiej, ale dziesiątej klasy. Dotąd jeszcze w Ameryce Północnej nie zdołano wykorzenić prawa lynchu, na mocy którego rokrocznie ginie tam kilkudziesięciu murzynów, traconych przez tłum, bez sądu, w sposób barbarzyński, nieludzki. Wiesza się ich bowiem, oblewa naftą i podpala. Władze patrzą na tego rodzaju ekscesy pobłażliwie, zwłaszcza, że prawie zawsze powodem tych okrutnych egzekucyj jest oskarżenie o gwałt na białej kobiecie, co w stosunkach amerykańskich uchodzi za szczyt zbrodni.

W ostatnich jednak czasach budzi się reakcja przeciwko temu barbarzyństwu, a wyrazem jej były demonstracje radykałów, którzy w większej liczbie zgromadzili się przed Kapitolem w Waszyngtonie, aby wyjednać ułaskawienie dla pięciu murzynów, którzy za zgwałcenie białej kobiety (oczywiście!) zostali skazani na karę śmierci. Postawa demonstrantów była tak gwałtowna, że nie ulękli się oni nawet policji i stoczyli z nią walkę wręcz. Celu jednak swojego dopięli, gdyż wyrok dla skazanych został zniesiony i zarządzone nowe dochodzenie sądowe.

„PANIENKA Z NIEBA“ POPRAWIA REKORD SWEGO MĘŻA.



Miss Amy Johnson, dokonała przelotu rekordowego z Londynu do Kapsztadu. Keystone — London.

Słynna lotniczka angielska Amy Johnson, któ[ra] niedawno temu wyszła za mąż za równie sła[w]nego lotnika Molisona, dla nas Polaków jest [c]iągle jeszcze „panienką z nieba“. Pamiętamy bo[w]iem dobrze jej przelot z Londynu do Tokio, któ[r]y z powodu defektu w motorze zakończył się [p]rzymusowem lądowaniem na terenie Polski i go[ś]ciną u dziś już nieżyjącego księdza Serejki. „Panienka z nieba“ wróciła potem do Anglji i o swym [p]olskim epizodzie zapewne zapomniała, pochło[n]ięta innemi wielkiemi planami. Obecnie za cel [s]wojego życia, wzięła ona sobie bicie rekordów [lo]tniczych. Ostatnio mamy do zanotowania nowy [je]j wspaniały wyczyn. Oto udało się jej przele[ci]eć z Londynu do Kapsztadu w czasie 4-ch dniach [...] godzin i 53 minut i poprawić w ten sposób poprzedni rekord, należący do jej własnego męża. Ale p. Molison nie gniewa się o to. Bądź co bądź rekord zostanie w familji.



Miss Amy Johnson w gościnie u śp. ks. kanonika Serejki w Krasnosielcu (90 km na północ od Warszawy), po swojem przymusowem lądowaniu w grudniu 1930 r. w czasie przelotu z Londynu do Tokio. Ag. Fot. „Światowida“.

Najgłośniej to zwycięstwo p. Molison oklaskuje niewątpliwie świat kobiecy. W stosunkowo bowiem krótkim czasie udało się kobietom zająć w lotnictwie miejsce tak poczestne i zdobyć tyle triumfów, że kto wie, czy niebawem nie nadejdzie chwila, że każdy rekord osiągnięty przez panów Molisonów okaże się jętką jednodniówką, wobec wyczynów ich żon.

Z UROKU LISTOPADOWEJ WŁÓCZĘGI PO GORGANACH.



Jak okiem sięgnąć, pustkowie...

Z werchu rozciągał się przed nami daleki widok na doliny rzek i odległe łańcuchy górskie.

W okół spokój i cisza. Majestat gór.

Jak okiem sięgnąć pustkowie. Od czasu do czasu zadrgało w powietrzu kwilenie jastrzębi, zawieszonych w błękicie nad przepastnemi dolinami*). Na stoku wśród sosen, dostrzegłem przez lornetkę chatę-schronisko. Po odpoczynku, opuszczaliśmy się zwolna ku niej. W pół godziny byliśmy na miejscu. Chata nowa, nie zamieszkała, z pewnego rodzaju werandą przed wejściem, położona prześlicznie, z widokiem na wstęgę rzeki.

Objęliśmy ją w posiadanie, rozgospodarowaliśmy się szybko, wkrótce wesoło trzaskał ogień, a niedługo potem zabrzęczały łyżki i blaszane kubki. Po wieczerzy rozsiedliśmy się, na barjerach werandy i trwaliśmy w milczeniu, zatopieni wzrokiem w harmonijnym pejzażu lasów i gór.

Dziwny to był dzień, chwilami snuły się nisko chmury i mgły, to znów złote strugi promieni strzelały z poza obłoków.

Słońce już brzegiem dotykało linji grzbietu górskiego.

Ostatnie smugi jasnych strzał przecinały przestrzeń.

W ślad za znikającem słońcem, biegł mrok. Nadciągał od wschodu rozległą tyraljerą, niby ogromny niewód, dla schwytania złocistej tarczy dziennej. Opadał z góry, osiadał na gałęziach sosen, motał je czarną przędzą, dziwnemi niémi wiązał z sobą pnie, głazy i krzewy. Wypełniał każdą szczelinę, zacierał kontury przedmiotów i wszystko pokrywał żałobnym kirem, a na dalekim horyzoncie złączył niebo z ziemią.

Brodate kiście drzew uginały się pod ciężarem mrocznego szronu. Zdawało się, że jakieś nie przebrane, zwycięskie zastępy cieni, wylęgłe w krainach nocy, ciągną dolinami i lasami, w wieczystej pogoni za słońcem.

Ostatnie, zbłąkane promienie ginęły w nierównej walce.

Mrok zapanował wszechwładnie, potężniał, gęstniał i niby olbrzymia czapa pokrywał ziemię.

Jakiś potworny kaptur opadł i zgasił płomień życia dziennego.

Cisza, towarzysz mroku, koiła spracowane tętno przyrody, kołysząc je do spokojnego snu.

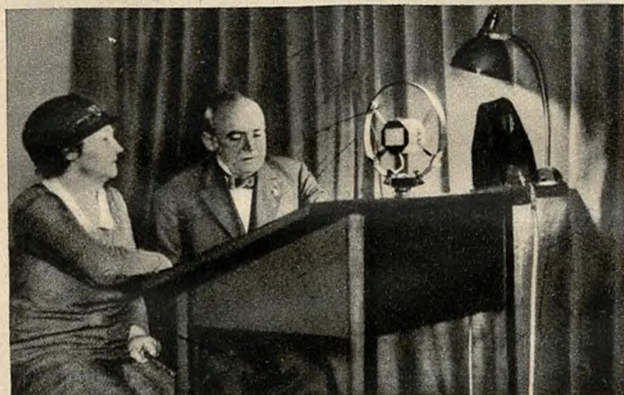
Et! — zabrzmiał głos mego towarzysza — chodźmy spać.

Chodźmy!...



Nową niezamieszkałą chatę objęliśmy w posiadanie.

NA FALACH RADJA NA WYSPY NIEDŹWIEDZIE.



P. Władysław Łysakowski ze Lwowa z żoną przez mikrofon radjostacji lwowskiej mówi do syna, uczestnika pierwszej polskiej wyprawy podbiegunowej na Wyspę Niedźwiedzią. Głos stęsknionych rodziców przebiega w sekundzie 2800 klm., dzielących Lwów od Wysp Niedźwiedzich, i dociera do zasypanej śniegiem naukowej pustelni młodych badaczy, aby im zanieść pozdrowienia od najbliższych. 4-go listopada zapadła tam noc, która będzie trwała trzy miesiące. Przez ten czas nie zawinie do brzegów lodowej wyspy żaden okręt, żaden list ich nie dojdzie, ani żadna nowa twarz nie ukaże się na progu chaty. Tylko głos chwytany radjowym aparatem mówi im, że nie są na odludziu samotni.



Dziewczyna z plemienia Senussi.

CZY DOJDZIE DO SKUTKU WYPRAWA POLSKA DO ZERZURY?

W przedostatnim numerze „Światowida" podałem szczegóły o wyprawie archeologicznej włoskiej do oazy Siwah w Egipcie, mającej na celu odnalezienie grobowca Aleksandra Wielkiego w tej oazie, znajdującej się w pustyni Libijskiej na pograniczu włosko-egipskiem. Obecnie zaś w związku z tegorocznym odkrywczym lotem ponad pustynią Libijską, dzielę się z czytelnikami następującą notatką, tyczącą się tych okolic Afryki, gdzie jeszcze obecnie dokonuje się odkryć geograficznych.

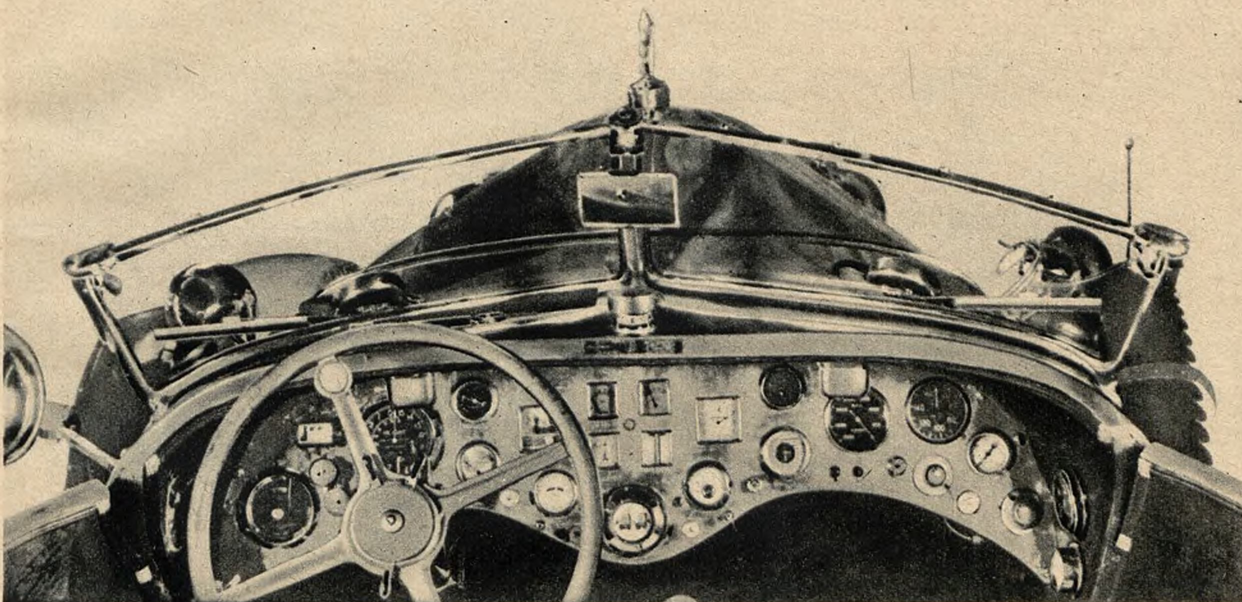
Gdy w roku 1925 przebywałem wraz z wycieczką Międzynarodowego Kongresu Geograficznego w oazie Khargi, położonej w głębi pustyni Libijskiej, z której to oazy lotnicy angielscy ostatnio dokonali senzacyjnego wywiadu ponad zaginioną w tej pustyni oazą Zerzura, wówczas to oaza Khargi, oraz leżące poza nią oazy Dachli i Farafry były ostatniemi placówkami wysuniętemi ze strony egipskiej w głąb pustyni Libijskiej. Poza niemi zaś ciągnęła się najdziksza i bezwodna część tejże pustyni, a o oazach Kufry i Zerzury krążyły wprost mityczne podania. Wówczas to bowiem oaza Kufra była jeszcze siedzibą niezależnego szczepu Senussich, których szeik w czasie wojny światowej wypowiedział wojnę świętą niewiernym, a lotne zastępy Senussich dotarły wówczas do wspomnianych oaz egipskich, zagrażając nawet samej linji Nilu. Posiłkowany przez Niemców wypad ten Senussich na Egipt, który zszedł się z równoczesnym atakiem wojsk tureckich na kanał suezki, odparto przez sprytne ze strony Anglji ogłoszenie Egiptu niezależnym królestwem. Senussi powrócili do swych siedzib i pozostali w tychże zupełnie niezależni aż do roku 1931, kiedy to wojska włoskie zdobyły stolicę oazy Kufra. Pisząc o tym fakcie na froncie podkreśliłem również wiadomość o istnieniu na pustyni Libijskiej tajemniczej oazy Zerzura, leżącej pomiędzy egipską oazą Siwah a niezależną oazą Kufra, która to Zerzura zerwała wszelką łączność ze światem cywilizowanym. Wszelkie ekspedycje tam kierowane nie mogły dotrzeć, raz z powodu trudności posuwania się w terenie najdzikszej części Sahary, powtóre dla wieści, iż studnie po drodze są zatrute, wreszcie z powodu oporu Senussich, oraz braku przewodników, którzyby zechcieli prowadzić do Zerzury. Gdzie zaś ta tajemnicza oaza się znajduje nie wiedziano dokładnie i dopiero ostatni raid lotniczy wykonany z oazy Khargi doprowadził do wykrycia z powietrza miejsca znajdowania się tejże. Jest więc nadzieja, że już szybko dotrze tam stopa białego człowieka, podobnie jak to miało miejsce i z oazą Kufra, do której przed wkroczeniem tamże Włochów, wstęp dla niewiernych był wzbroniony pod karą śmierci. Zanim zaś tam wojska włoskie dotarły, przedtem teren zrekognoskowały włoskie eskadry lotnicze i w ten sposób przyszło dopiero do ostatecznego zajęcia tych okolic w roku 1931, zupełnie nieznanych przedtem geograficznie. Przy tej sposobności niech mi będzie wolno podać do wiadomości, iż w roku 1931 w chwili zajmowania tych okolic przez wojska włoskie, w Polsce bawiła z odczytami o swej azjatyckiej wyprawie pamirskiej słynna podróżniczka polska p. Jadwiga Toeplitz-Mrozowska, zamieszkała stale we Włoszech. Tej ostatniej po odczycie w Krakowie, przedstawiłem projekt zorganizowania polskiej wyprawy odkrywczej w te niezbadane zupełnie strony. Wyprawa taka przy życzliwem stanowisku rządu włoskiego, dołączona poprostu do wojskowych kolumn włoskich idących naprzód w nieznane okolice mogłaby się odbyć przy minimalnych kosztach. Tę metodę podróżniczą stosował już ś. p. profesor geografji na Uniwersytecie Jagiellońskim, Ludomir Sawicki, gdy w roku 1295 w zimie bawił we włoskiej Trypolitanji, wówczas dopiero na nowo zwolna zajmowanej przez Włochów, a wrażeniami temi podzielił się na odczytach Polskiego Towarzystwa Geograficznego w kraju, oraz w referacie wygłoszonym w języku włoskim na posiedzeniach Międzynarodowego Kongresu Geografów w Kairo w r. 1925, dokąd bezpośrednio przyjechał z Trypolitanji. Referat ten p. t. „Trypolitania rieocupata" (Trypolitanja z powrotem zdobywana), ukazał się, jako osobna broszurka wydana staraniem Wydawnictwa Krakowskich Odczytów Polskiego Tow. Geograficznego (drukarnia Orbis, Kraków). Ten mój projekt przedstawiony p. Toeplitz-Mrozowskiej nie doszedł do skutku ze względów kryzysowych, niezrażony tem jednak nadal propagowałem znaczenie geograficznego poznania tych okolic. Wyraz temu dałem w odczycie Polsk. Tow. Geogr. w dniu 2 marca br. w Krakowie pt. „Z wędrówek po Egipcie", gdzie wyraźnie podkreśliłem rolę tajemniczych oaz Kufry i Zerzury, tych zakątków domagających się geograficznego poznania. Z tem większą więc radością podaję do wiadomości, iż badacz Afryki sir Robert Clayton z kilku towarzyszami przy użyciu samolotu zdołał odnaleźć libijską oazę Zerzura. Lotnicy angielscy wystartowawszy z oazy Khargi po kilkodniowych wysiłkach wypatrzyli zaginioną oazę Zerzura, do której nie docierają już od dawnych czasów karawany. Niestety lądowanie na oazie było niemożliwe, a lotnicy wrócili z powrotem do Khargi. Oaza Khargi, którą poznałem dobrze w czasie parodniowego w niej pobytu z wycieczką Międzynarodowego Kongresu Geografów w kwietniu 1925 roku, przedstawia obszerną kotlinę, prawie leżącą w depresji, a otoczoną urwistemi ścianami skalnemi płyty Libijskiej. Z dna kotliny wznoszą się skaliste góry wyspowe, na szczyt jednej z nich zwanej Gebel Teir wszedłem wespół z prof. Colletem, geologiem szwajcarskim. Dzień był pochmurny, zanosiło się na deszcz, na szczycie skalistym sypało piaskiem w oczy od niezbyt odległych piaskopadów, zlatujących w przepaść z krawędzi płyty Libijskiej. Patrząc w dół na leżącą oazę Khargi, oraz nasze podróżne namioty odczuwało się tem większą rozkosz cywilizacji, a wszędzie wokół ściela się, o wciąż zmiennem obliczu krajobrazu, dzika, bezwodna, bezludna pustynia Libijska, ciągnąca się nieprzerwanie na zachód przez właściwą Saharę od brzegów Nilu, aż po wybrzeże Atlantyku.

Dr Adam Gadomski,
członek wyprawy do oazy Khargi w roku 1925.



Droga polna, wiodąca do oazy Tarhuna w Trypolitanji.

GDY PRZEZORNY CZŁOWIEK KUPUJE SOBIE SAMOCHÓD.



Auto Lawrence Graysona z Los Angelos i deska rozdzielcza, na której widoczne są wskaźniki najrozmaitszych instrumentów. *Keystone — Berlin.*

Mister Lawrence Grayson z Los Angelos, posiada najlepiej na świecie wyposażony samochód. Na desce bowiem rozdzielczej swojego auta, kazał on sobie umieścić 59 wskaźników, najrozmaitszych instrumentów, które rejestrują automatycznie wszystko to, co się dzieje w wozie i poza wozem. Jest więc tam wskaźnik ilości benzyny, obrotów, motoru, jego temperatury, temperatury wody w chłodnicy, ciśnienia barometrycznego, wilgotności powietrza, oporu powietrza w czasie jazdy, wskaźnik wysokości, na jakiej znajduje się wóz w czasie jazdy po górach, kompas, zapalniczka i urządzenie, które poraża prądem elektrycznym złodzieja, któryby chciał uruchomić motor. Mister Grayson jest bardzo zadowolony ze swojej deski, ludzie jednak jakoś śmieją się z niego.

PARYSKIE ZOO DLA DZIECI.

Paryż urządził w Lasku Bulońskim specjalny mały ogród zoologiczny dla dzieci. Ogród ten różni się od innych ogrodów zoologicznych, że znajdują się w nim wyłącznie młode zwierzątka. Mamy więc śliczne młode lwiątka, młode świnki, młode cielątka, młode sarenki i w. in. Największem zainteresowaniem dzieci, odwiedzających tłumnie ogród, cieszy się niewątpliwie klatka z młodemi małpkami. Na fotografji widzimy właśnie moment karmienia takiej młodej małpki z flaszeczki, napełnionej ciepłem mlekiem i zaopatrzonej w smoczek. Flaszeczki takie wypożycza się za drobną opłatą dzieciom, które następnie karmią niemi młode zwierzątka, ku wielkiej obopólnej uciesze. Zwierzęta są już tak do tego przyzwyczajone, że za każdem dzieckiem włóczy się z reguły kilka kóz, lub innych zwierząt, dopominających się natarczywie flaszeczki z mlekiem.



MĘŻCZYŹNI MANIKURZYSTAMI.



W Ameryce pojawili się pierwsi mężczyźni manikurzyści. Mają oni kolosalne wzięcie, szczególnie u starszych kobiet.

Do tej pory mężczyzna pracował głową albo rękoma, albo i jednem i drugiem równocześnie. Tak to było z dawien dawna zaprowadzone — bodaj że od początku świata, a przynajmniej po grzechu pierworodnym, gdy prapraojciec nasz otrzymał cenną wskazówkę dla wszystkich następnych pokoleń ludzkości: „w pocie czoła twego chleb twój...“ itd.

Ostatnie czasy wprowadziły pewną poprawkę w ten odwieczny tryb pracy o tyle, że zaczęto pracować nietylko głową i rękoma, ale także nad rękami: jest to tak zwane „manucure“, czyli dosłownie piecza nad rękoma, względnie kuracja rąk; przeważnie zresztą kuracja rąk zdrowych i nic nie robiących, które chciały być jak najbardziej „cacy“. Tą delikatną robotą nad rękami zajmowały się wyłącznie kobiety i zawód „manucurzystki“ albo „manikiurzystki“ — jak kto woli — stał się znanym, uznanym i dość rozpowszechnionym zawodem w całym cywilizowanym świecie, obejmującym Europę i dwie Ameryki.

Na tem jednak ewolucja „ręcznej“ pracy bynajmniej się nie skończyła. Jak wiadomo, świat powoli, ale konsekwentnie przewraca się „do góry nogami“ we wszystkich kierunkach, nie wyłączając stosunku płci — we wszystkich stosunkach. Stosunek pracy mężczyzn i kobiet dzisiaj uległ zmianie, zwłaszcza w Stanach Zjedn. Ameryki Północnej, gdzie horendalne bezrobocie rzuca zarówno mężczyzn jak kobiety w objęcia wszelkich zawodów, jakie się nadarzą. To też mężczyźni amerykańscy bez wahania biorą się i do zawodów, do tej pory uważane wyłącznie za damskie, między innemi i do „manucure“. Przychodzi im to tem łatwiej, że — jak się okazało — w tak zwanych „salonach damskich“ i „instytucjach piękności“ damy przedkładają męską obsługę i pieczę koło swych rączek nad damską. Widocznie w tej „kuracji“ tak zwane „czynniki psychiczne“ połączone z sex appeal'em również odgrywają dużą rolę. Dość zaś jeszcze jest w Ameryce miljarderek i miljonerek, które mimo kryzysu i bezrobocia mają drobne na zatrudnienie mężczyzn około swych bezrobotnych rączek. Tak bezrobocie skierowało amerykańskich mężczyzn do pracy — koło rąk.

St. Mr.

WŚRÓD STRACEŃCÓW NA ZIEMI OGNISTEJ.

Ze wzruszeniem wyławiam obrazy, które maluje pewien dziennikarz włoski ze swej podróży po Patagonji; jest tam mowa i o trzech Polakach, których los zagonił nad zlewisko dwóch oceanów, opłukujących najbardziej na południe wysuniętą część kontynentu amerykańskiego.

— Znajduję się w Punta Arenas — opowiada dziennikarz. — Chłodny wieczór zapadł nad półwyspem Brunswick. Wraz z tutejszym przypadkowym towarzyszem Norwegiem, Larsenem, siedzę u Alberta Pagelsa, niemieckiego rybaka, o którym swego czasu mówiła cała Patagonja.

— Więc to pan jest tym sławnym marynarzem, któremu udało się przez trzy miesiące trzymać w kanałach Ziemi Ognistej ukryty krążownik „Dresden" po bitwie pod Falklandami?

Znajduję się w surowej izbie z trzaskającym ogniem na kominku. Marynarz przeciera czoło, jakby chcąc przywołać na pamięć dawne wspomnienia, poczem podchodzi do szkatułki w kącie, wyciąga z niej mapę i album. Tutaj są znaczone dzień za dniem tajemne przejścia szlaku, któremi dumny krążownik, pozostały z wielkiej floty niemieckiej, przedzierał się w ciągu trzech miesięcy, aby ujść bezlitosnej pogoni marynarki angielskiej.

Pagels, obywatel niemiecki, osiedlony w Patagonji od 22 lat — śledził tragiczne akty bitwy morskiej u Wysp Falklandzkich, aż pewnego dnia statek wielorybniczy, płynący z zachodu zawiadomił go, że eskadra niemiecka, spędzona z Pacyfiku przez przeważające siły brytyjskie, szuka schronienia u przylądka Horn. Rybak niemiecki wstąpił do swego czółna i przez dwa dni przemierzał morze u Wysp Stanowych, wypatrując ojczystego okrętu.

Jak wiadomo, w bitwie pod Falklandami wszystkie okręty niemieckie wojenne, z wyjątkiem krążownika „Dresden" zostały zatopione przez Anglików. „Dresden" korzystając z ciemności i burzy, wymknął się ze strefy patrolowanej i wycofał się do przylądka Horn. Cudowna intuicja wyprowadziła Alberta Pagelsa naprzeciwko uciekającego okrętu. Tam witany radością zdziesiątkowanej załogi, pozbawionej żywności, węgla i środków leczniczych — wstąpił na pokład, aby spełniać rolę komendanta i pilota. Nikt lepiej nie znał tych okolic. Trzeba było uchronić krążownik od pościgu, grożącego mu z każdej strony.

Wspominając te niebezpieczne dni, marynarz staje się uroczysty.

— Każdej nocy musiałem zmieniać pozycję okrętu, manewrując nim w rozmaitych kierunkach. Raz ukrywałem krążownik w skałach, to znowu spychałem go na korytarze niespokojnej wody przybrzeżnej, między niebezpieczne bloki przylądków, to znów wyprowadzałem go na tło olbrzymich lasów, które schodzą aż na sam brzeg morza i maskowałem go gałęziami, które znosili na pokład wierni mi tubylcy. Manewry te odbywały się tylko w nocy. Nazajutrz rankiem schodziłem z mostku kapitańskiego do czółna i rozpoczynałem inspekcję okolic. Równocześnie znając wszystkich tamtejszych rybaków, zapewniałem okrętowi węgiel i zapasy żywnościowe. Wreszcie, kiedy zniknęła groźba pościgu, wyprowadziłem okręt na wody zachodnie i tak podjął on swą drogę po pełnem morzu w kierunku na północ.

W albumie, który pokazuje mi Pagels, widzę autografy i fotografje admirałów i ministrów niemieckich. „Dobrze zasłużony" wilk morski ze wzruszeniem kładzie na stole zżółkłą kartkę papieru z podpisami wszystkich oficerów krążownika „Dresden". Wreszcie chwyta w ręce fotografję nadmorskiego miasteczka Sassnitz, gdzie urodził się przed 60 laty. Głaszcze jasnowłosą główkę swojej córeczki, która siedzi na kolanach ojca i mówi:

— Już tam nie wrócę napewno, ale to dziecko musi zobaczyć dom swoich dziadków.

Ogień na kominku dogasa. Wraz z towarzyszem norweskim ciągniemy rozmowę o tych smutnych mieszkańcach, rzuconych dziwnem zrządzeniem losu w zimne, skaliste okolice. Wreszcie wychodzimy. Larsen prowadzi mnie do szynku, w którym schodzą się wszyscy tutejsi rybacy. Na ścianach wiszą rozmaite trofea myśliwców polarnych: skóry pingwinów, zęby wielorybów, wąsy morsa itd. To jedna z tych gospód, które pamiętają czas gorączki złota, kiedy wzdłuż bezludnej niemal Cieśniny Magellańskiej biwakowały tłumy awanturników z całego świata, poszukujących złota w Ziemi Ognistej. Dzisiaj te dnie są już daleko i złoża złota zostały wyczerpane. Pozostał tylko smutny i szary wysiłek codziennych łowów rybackich.

Larsen napróżno szuka swoich rodaków. Przy stole, przy którym zwykle siedziało 8 lub 10 Norwegów, niema tej nocy nikogo. Siadamy obok dwóch marynarzy, mówiących po hiszpańsku, grających ze sobą w szachy. Jeden z nich, młody, ma prawą dłoń pozbawioną trzech palców. Wrócili oni właśnie z polowania z wysp Herschel. Rozmawiam z nimi. Przy wyjściu z Kanału Beagle natrafili na burzę. W tem to miejscu ostatnie szczątki łańcucha Kordyljerów, schodząc skaliście do morza, staczają wściekłe walki z gwałtownym impetem wiatrów południowych. Znają to miejsce rybacy. Myślę o tem z drżeniem, ponieważ za parę dni będę musiał jechać przez te okolice, jeżeli znajdę w Rio Gallegos żaglowiec, płynący na południe. Na przylądku Horn pod szarem, smutnem niebem, wznoszą się straszliwe obeliski skaliste, które zima przekształca w bloki z marjoliki. Fala uderzając w skałę na wysokość 10 i 15 metrów, wywołuje pianę, która, widziana zdaleka, wygląda na eksplozję dynamitową. Pływają tu szczątki rozbitych okrętów, połamane drzewca żagli, dzioby wielorybniczych statków. Kiedy ten krajobraz ogarnie noc, a księżyc wypłynie na niebo, szczątki okrętów nabierają koloru kości i zdaje się żeglującym, że płyną wśród przedpotopowych szkieletów.

Podczas rozmowy inni rybacy przysiadają się ku nam. Są między nimi trzej, którzy mówią po polsku, inni mówią po niemiecku i holendersku. Imię Europa ma dla nich dźwięk magnetyczny: wszyscy bowiem pochodzą z Europy.

Jeden z Holendrów pyta mnie o swój kraj ojczysty. Wspominam mu kanały Amsterdamu, ukwiecone łąki Haarlemu, zielone mury Leydy. Jest tu jeden młodzieniec narodowości czeskiej, z jedwabną czupryną i nadzwyczaj delikatnemi rękami. Aby i jego nasycić, mówię mu o Pradze i mej wiosennej podróży po równinach Moraw. Pokazują mi typ starca o bezmyślnym wyglądzie, zajadającego w kącie pieprzne mięso i popijającego piwo. To jest Polak, który przed miesiącem łowił foki u skał wyspy Deceit i o mało nie stracił życia podczas niebezpiecznego skoku, który musi wykonać marynarz z łodzi, aby wdrapać się na skałę, gdzie skupione są zwierzęta. Poślizgnął się on na bloku, oblepionym algami i uderzył czaszką w skałę. Napół przytomnego wyciągnęli go towarzysze; ale już nie odzyskał pełnej świadomości. Jeszcze smutniejszy los dotknął jego brata, który przed pięciu laty znalazł śmierć na przylądku San Diego. Tam latem wiecują krzykliwie na spadzistych zboczach dziesiątki tysięcy pingwinów. Myśliwy przybył w małem czółnie aż na sam brzeg zapełniony pingwinami — kiedy ptactwo, spłoszone kamieniem, spadającym z góry, wszczęło popłoch i jęło setkami, jak lawina walić się w dół, tak, że nieszczęśliwy łowca został zdeptany i zmasakrowany na śmierć.

Wyiskrzona, zielono-kryształowa noc roztoczyła skrzydła nad tym zimnym krajem, kiedy upity setką opowieści, oszołomiony wyziewami dymu i wódki, wyszedłem ze szynku w towarzystwie Larsena. Żegnał mnie chór głosów:

— Do widzenia w Europie!

Europa — wielki sen udręczonych dusz, najwyższa inwokacja, która się wzbija z padołu tego szarego życia, skazanego na ryzyko i niebezpieczeństwo rybackie.

Larsen idzie obok mnie przez opuszczoną ulicę. Ma minę, jakby chciał mi się z czemś zwierzyć. Wreszcie zatrzymuje się i mówi. Mówi tak, jakby kontynuował rozmowę wewnętrzną:

— ...ponieważ ja od pewnego czasu powziąłem ważną decyzję. Jeszcze pięć albo sześć lat tego życia, a potem, jeśli kryzys minie i moneta się ustabilizuje, wracam do ojczyzny. Kupię sobie domek, ogród i będę żył tak samo jak 40 lat temu. Przepędzę ostatnie moje dni w spokoju.

— Jaki to domek, Larsenie?

Więc opisuje mi tak, jakby go widział przed oczyma: mały, cały z białego drzewa, ogrodzony sztachetami, nad brzegiem fjordu i niedaleko kościoła metodystów. Tapety muszą być czerwone z kwiatkami, podczas gdy sypialnia będzie w kolorze niebieskim. Szafę muszą wykonać słynni rzemieślnicy z Telemark. W takim domku przepędził on pierwsze dwa lata małżeństwa. Wtedy to — kiedy jego Christin, wydając na świat dziecko, zamknęła oczy na zawsze, w przystępie rozpaczy sprzedał dom i zaciągnął się, jak warjat, na ten przeklęty statek wielorybniczy, który go przyciągnął aż tu, na drugi koniec świata.

Ale teraz pogodził się już z sercem i ze światem. Wszystko się naprawi. Wróci do Norwegji, odkupi dom, wzbudzi wspomnienia dawnych czasów. Przy łóżku położy sobie fotografję umarłej żony i będzie pracował w ogrodzie, hodując werbeny, ulubione jej kwiaty. Zapytuję go, o jakiem to mówi miasteczku w Norwegji, które mu tyle wspomnień przysporzyło.

— To Aalesund, na zachodniem wybrzeżu; dom mój wznosi się na samym końcu miasteczka, tam, gdzie zaczyna się fjord.

— Aalesund? Ależ drogi Larsenie, czy pan nie wie, że wszystkie budynki tego starego miasteczka padły w gruzy podczas wielkiego pożaru w roku 1906?

Gryzę się w język, ale już zapóźno. Larsen zatrzymuje się w pół kroku, patrzy przez minutę na mnie oszołomiony, poczem wybucha długim spazmatycznym płaczem.

Jego sen o Europie skończył się.

A ci trzej Polacy, ten Czech i ów napół oblakany Polak — ci Słowianie, nieprzywykli do morza, zagubieni i dalekich wód nad cieśniną Magellana, sterani w trudnym zawodzie myśliwców morskich — czy oglądną kiedyś na jawie swój wielki sen o dalekich ojczyznach?

Jalu Kurek.



Wśród kolonistów na Ziemi Ognistej, stanowiącej najdalej na Południe wysunięty cypel Ameryki Południowej żyje m. in. Niemiec Pagels, słynny z tego, że przez trzy miesiące zdołał ukrywać w kanałach Ziemi Ognistej krążownik niemiecki „Dresden", który po bitwie pod Falklandami uciekł przed pogonią angielską. — Na zdjęciu krążownik niemiecki „Dresden" w czasie bitwy pod Coronelem u wybrzeży Chilijskich.



Młodzi krajowcy z Ziemi Ognistej.

Dekolty - jakich nie było.

Tualety wieczorowe i balowe wyróżniają się obecnie przedewszystkiem oryginalnemi dekoltami. Dekolt i tren sukni to motywy, które decydują o powodzeniu modeli. A to powodzenie zależy od ich oryginalności. Cała uwaga mistrzów mody koncentruje się w tym kierunku, aby dekolt jednej tualety w niczem nie przypominał innego modelu. Stąd duża ich rozmaitość, choć przeważnie w grę wchodzą tylko odsłonięte plecy, przyczem z przodu zachodzi suknia wysoko pod szyję, przytrzymana zazwyczaj wokół szyi puszystą ryszą, czy też paskiem materji, wstążką lub sznurkiem pereł czy pailletów.

Dekolt pleców albo odsłania je całkowicie aż do pasa, albo też zakrywa je częściowo i kapryśnie rodzajem pelerynki tiulowej, dżetowej lub z materjału sukni. Często te pelerynki, czy też wielkie kołnierze, obszyte są paskiem cennego futra.

Krój takiej sukni jest niełatwy i wymaga ręki dobrego krawca czy krawczyni. Trudność polega na tem, że dekolt pleców rozszerzony jest na boki, a suknia zaczyna się właściwie na linji biustu i zachodzi wysoko pod szyję. Aby taka tualeta leżała naprawdę dobrze, potrzeba na to prawdziwie mistrzowskiej ręki.

Suknia wieczorowa i balowa sięga aż do ziemi, a często przedłuża ją tren, dodając wyrazu majestatu sylwetce kobiecej, przez wydłużenie linji ciała, która mimo powrotu do pełniejszych kształtów, pozostaje nadal wysmukłą i wąską w biodrach.

Duże dekoltaże wymagają okryć wieczorowych, to też nosi się z powodzeniem nadal wieczorowe bolerka, futrzane cape, lub też wykonane z metalicznej lamy lub lśniących aksamitów, przybranych futrem. Nowością zbliżającego się karnawału będą pelerynki i boa z piór strusich i kogucich, bogate i długie, dające się efektownie drapować i owijać wokół szyi.

Nieodzownem uzupełnieniem balowej tualety jest, była i będzie prawdziwa, czy sztuczna biżuterja. Paryż wprowadza na nowo modę brylantów dla bogatych kobiet z całego świata, które tam zaopatrują się w klejnoty. Dla zwykłych śmiertelniczek pojawią się niebawem imitacje tych cennych kolekcyj, jakie cały Paryż ogląda obecnie na wystawie Chanel.

W. W.



Wieczorowa sukienka dla młodej osoby z różowej crepe satin o drapowanym staniczku. Sznur pereł na szyi uzupełnia skromny lecz wytworny strój.

Oryginalna tualeta wieczorowa Wotha z crepe sable o niezwykłym kroju cape'u, który odsłania zupełnie prawe ramię, zasłaniając lewe do łokcia i zakrywa częściowo olbrzymi dekolt pleców.

Piękna tualeta wieczorowa z czarnej crepe marocain, przybranej zielonym aksamitem wokół szyi i przy szerokim pasku. Duży dekolt pleców zakrywa pelerynka z siateczki czarnej i czarnych perełek.

CO MÓWIĄ ŁOSOSIE O NADCHODZĄCEJ ZIMIE.

— Jaka będzie tegoroczna zima? — pytają mnie znajomi.

— A skądże ja mam wiedzieć?

— Skąd? Przecież co roku ogłasza pan swoje komunikaty meteorologiczne (które zresztą nigdy się nie sprawdzają) na podstawie tarła łososi, więc dlaczegoż zaniedbuje się pan tego roku, właśnie w okresie kryzysu, kiedy ludzie radziby się dowiedzieć, czy mają wyciągać futra z lombardów i czy daleko już do wiosny.

— Masz babo kubrak. A zatem trzeba jechać.

Całe szczęście, że drogę z Krakowa do Nowego Targu, już jako tako naprawiono. Tylko jeszcze na odcinku od Świątnik do Myślenic pozostawiono jakby rezerwat tych strasznych dziur, które były zmorą automobilistów za dawnych czasów.

Około 11-tej zatrzymuję się przy wylęgarni w Nowym Targu i podziwiam tam 222 łososi, złowionych na odjazce. Sztuki przeważnie małe. — Przyszły one wszystkie z Pienin, gdzie schroniły się przed posuchą. Konstatuję, że kampanja łososiowa jest w całej pełni i po raz setny stwierdzam, że nie ma ona najmniejszego sensu, że wyławianie ryb dla sztucznego wylęgu jest szaleństwem i t. d., ale o tem potem i kiedyindziej.

Zimno, że strach, prawdziwie listopadowa aura. Niebo zasnute chmurami, deszczyk rosi, a na drodze błoto. Przy moście w Harklowej rozwijam wędkę i zaczynam szukać tarlisk lipieni. Wprawne oko dostrzega je natychmiast, gdyż widać je na dnie rzeki, niby białe blizny. No i — ciesz się narodzie — tarliska są tego roku na wodzie płytkiej. Znaczy to, że zima będzie łagodna, że żonom nie potrzeba kupować futer, że można się śmiać z podwyżki cen węgla...

Czuję, że stawiam cały swój autorytet na kartę. Ale św. Marcin także był tego zdania, co łososie i nie przyjechał na białym koniu, a przysłowie mówi, że jaki dzień św. Marcina, taka będzie cała zima. A zresztą zobaczymy.

Do wiosny już tylko pięć miesięcy.

J. L.



Ogródek, do którego chwyta się łososie, ciągnące w górę Dunajca do tarlisk.



Wspaniały okaz łososia — tarlaka.

NOWA DEKORACJA SALI KASYNA OFICERSKIEGO W WILNIE.

W pierwszych dniach listopada została ukończona dekoracja sali reprezentacyjnej kasyna oficerskiego w Wilnie.

Pracę artystyczną powierzono artyście malarzowi J. Horydowi, który ozdobił ściany sali dziewięciu wspaniałemi paneaux dekoracjami. Drzwi wchodowe, na kapitelu, na których wyryto złoty napis „Patria", ujęte są w obraz symbolizujący Polskę. U góry postać niewieścia (Polska w obramieniu sztandarów i na tle białego orła, trzyma na kolanach otwartą księgę historji. Po bokach symbole Polski dawnej (husarze), oraz Polski doby obecnej — Praca i Oświata. Dwa boczne plafony noszą tytuł „Powrót bohatera", pozostałe zaś to upostaciowane „Polskie morze", „Obrona kraju" i „Spokój". Sala, którą pokazano na uroczystym poranku zaproszonym gościom, przedstawia się wspaniale. Dzięki talentowi J. Horyda, kasyno oficerskie w Wilnie zyskało jedną z najpiękniejszych sal reprezentacyjnych w Polsce.

Freski p. Horyda odznaczają się wielkim rozmachem.

Symbolika ich jest prosta i żywa. Tylko pogratulować kasynu i artyście!

(del).



Drzwi wchodowe do kasyna oficerskiego w Wilnie, ujęte w monumentalne freski J. Horydy, symbolizujące Polskę.



Powrót bohatera, fragment plafonu z kasyna oficerskiego.

»CRACOVIA« MISTRZEM POLSKI W PIŁCE NOŻNEJ.



Drużyna ligowa K. S. Cracovia. Od lewej stoją: Pająk, Piątkiewicz (rez.), Otfinowski, Malczyk I., Kubiński, kierownik sekcji p. n. red. Leo, Mysiak, Zieliński, Czarnik (rez.), Seichter. Siedzą: Malczyk II., Lasota, Chruściński, Kossok i Ptak. Brak jest Sperlinga, Ciszewskiego, Szumca i Kwiecińskiego (rez).



Widok na trybuny K. S. Cracovia podczas meczu drużyny białoczerwonych z warszawską Legją w dniu 20-go listopada b. r. w Krakowie.

Ubiegłej niedzieli rozstrzygnęło się tegoroczne mistrzostwo Polski w piłce nożnej. Na boisku Cracovii, po 90-cio minutowej, zaciętej i niezwykle ambitnej walce zwyciężyła drużyna białoczerwonych, zdobywając na rok 1932—33 mistrzowski laur. Przeciwnikiem jej była drużyna wojskowego klubu „Legja", jeden z najgroźniejszych zespołów ligowych, który szczególnie na początku tegorocznego sezonu wykazał niebylejaką formę. To też do ostatniej niemal minuty tego spotkania zgromadzona licznie na trybunach i miejscach stojących publiczność — przeżywała chwile największej emocji. Dostarczył ich bardzo wiele przebieg meczu, niezwykle żywy i interesujący. Wojskowi mimo braku Nawrota w ataku, który wskutek choroby nie przyjechał z Warszawy, okazali grę technicznie równą i taktycznie rozumną. Cracovia była w wyjątkowej formie, a jej obronne formacje grały wprost koncertowo. Temu zawdzięcza zespół białoczerwonych wynik bezbramkowy po swej stronie. Atak mimo dyspozycji strzałowej, nie miał szczęścia.

Zaraz pierwsze minuty przynoszą Cracovii prowadzenie. Prawoskrzydłowy Kubiński, który na tych zawodach obchodził jubileusz swego 300-go meczu, egzekwuje rzut wolny z 35 metrów, który świetnie plasowany, grzęźnie w siatce wojskowych. Na widowni niebywały entuzjazm. Drużyna, zdopingowana tem powodzeniem, dąży do powiększenia wyniku, który jednak do pauzy pozostaje niezmieniony. Dopiero w 80-tej minucie spotkania, po przepięknej kombinacji: Sperling, Ciszewski, Zieliński, ten ostatni, otrzymawszy piłkę od Ciszewskiego, strzela drugą bramkę, która uniemożliwia wyrównanie i decyduje o zwycięstwie białoczerwonych.

Z pośród graczy Cracovii, którzy na tych zawodach wykazali niezwykłą ambicję, ofiarność i formę, wybijali się trzej jubilaci, obchodzący swój 100-ny mecz, a to bramkarz Otfinowski, napastnik Malczyk II i pomocnik Seichter. Zwycięstwem, odniesionem nad Legją, zamknęła Cracovia swój oficjalny sezon piłkarski. Bilans tegorocznych jej rozgrywek przedstawia się dodatnio. Na 22 spotkania przegrali białoczerwoni zaledwie zaledwie 5, a więc najmniej ze wszystkich innych klubów, 5 zremisowali, a 12 wygrali. **s-nu.**



Gorący moment na meczu Cracovii z Legją, pod bramką wojskowych. Ciszewski (w koszulce w paski) walczy o górną piłkę.

BENJAMINEK LIGI — »PODGÓRZE«.

„Pewnego rana stała się rzecz niesłychana". Czwarty klub krakowski „ośmielił się" wygrać z poznańską Legją i... wszedł do Ligi. Jeszcze ubiegłej niedzieli, gdy na boisku Cracovii walczyło Podgórze po raz drugi z Poznańczykami, mało kto miał nadzieję, że zwycięstwo to stanie się faktem dokonanym, który jeszcze bardziej zagmatwa i tak już mocno niewyraźną sytuację na terenie Ligi. A jednak dzielni chłopcy z pod kopca Krakusa ani na chwilę nie zwątpili w swe siły i na szalę spotkania w Częstochowie rzucili całą swą ambicję, a ta przyniosła im zasłużoną realizację ich wieloletnich marzeń.

W ten sposób czwarty klub krakowski dostał się w szeregi elity naszego piłkarstwa i zadokumentował hegemonję Krakowa w polskim footbalu. Przed drużyną Podgórza otwierają się nowe horyzonty. Nowe zadania czekają jej kierowników. Czy spełnią się nadzieje licznych sympatyków Podgórzan, pokaże to najbliższy sezon. Aby wypadł on pomyślnie, trzeba dużo pracy.



Drużyna nowego benjaminka Ligi, K. S. Podgórze.

Wszystkie zdjęcia Ag. fot. „Światowida."

Logogryf.

ul. L. Ciesielski (czł. Warsz. Kl. Szar.).

Zstąpiła na ziemię zima mroźna, sroga...
Gdy tymczasem nędza okrutna się wdarła
Pod dach naszych bliźnich!... a siła to wroga:
Rozbiła byt wszelki, z nadziei odarła...
Zniszczyła wśród ludu piękną życia radość!...
Czem jest więc dziś życie tej ubogiej rzeszy?
Państwo nie jest w stanie czynić wszystkim zadość —
Tymczasem z pomocą nikt się dziś nie spieszy...
Świat cały objęła w ramiona swe nędza,
Miłość dla bliźniego ginie bezpowrotnie —
Sroga, bezlitosna, zła Ananke jędza
Postępuje naprzód w złem szybko — zawrotnie!...
Śmiertelna objęła tych biednych już trwoga!...
Nie dajmy więc ginąć głodnym i zziębniętym,
Wyratujmy z biedy, z zimna ich — na Boga!
Podajmy im rękę — wszak to naszym świętym
Rozkazem jest Nieba! — Czyn spełnimy łatwy —
Śpieszmy więc z pomocą — na co kogo staje —
Dla głodnych i nagich, a zwłaszcza dla dziatwy!...
— — — — — — — — — — —
Bo kto zaraz daje, ten dwukrotnie daje!!!

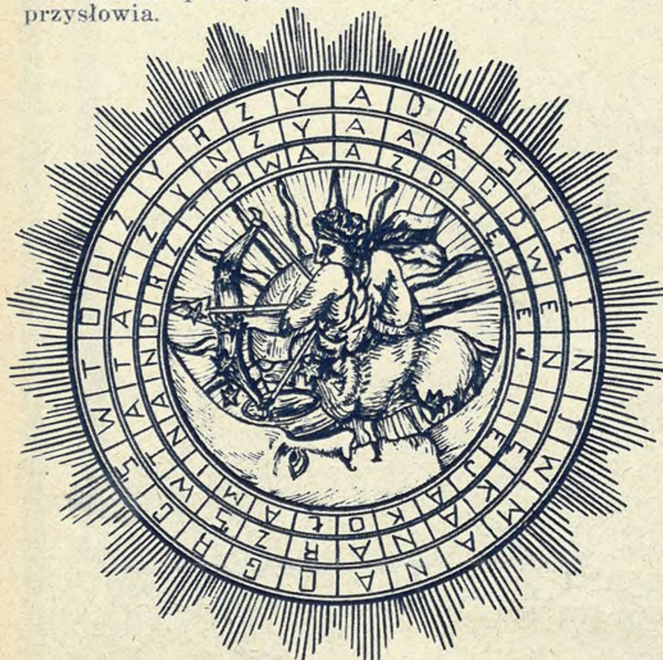
—o—

Sposób rozwiązania: W pierwszym wyrazie każdego wiersza należy wynaleźć jedną literę, tak, ażeby z tych liter utworzył się ku dołowi idący równy rząd pionowy, który da rozwiązanie.

Składanka.

ul. M. Waksmundzka, Jasło (czł. Kl. Szar.).

Łącząc parami stojące obok siebie litery — jednak nie za porządkiem — otrzymamy 3 znane przysłowia.



Za rozwiązanie niniejszych dwu zadań redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 3 grudnia 1932 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 45.

REBUS: Karpiński i Rogalski — oto nowa sława i chluba nasza!

SZARADA: Pochmurne dni listopadowe.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 45 nadesłali:

T. Zacherowa; „Wilnianin"; pl. M. Szymko, Podbrodzie; M. Soroko, Wilno; W. Siuta, Kołomyja; L. Bronner, Kraków; H. Majewski, Chełmża; Eug. Komorowicz, Jędrzejów; T. Pendzlowa, Gniezno; St. Rakowski, Poznań; Tola Rakowska, Poznań; Z. Początkówna, Wilno; Fr. Ruszkowski, Chełmża; H. Czaplina, Poznań; H. Buczkówna, Rzeszów; Jurek Zapiór, Kraków; D. Herbstmanówna, Warszawa; „Stella", Łask; Kaz. Ołpiński, Warszawa; Fr. Tyński, Będzin; Wład. Ostrowski, Warszawa; J. Siedlecka, Kielce; L. Chrypiak, Jaworów; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; M. Zapiór, Kraków; W. Chmiel, Kraków; S. Jabłoński, Prokocim; A. Borowicz, Poznań; H. Opielińska, Środa; I. Wajsfeld, Pińczów; D. Doliwa-Dobrowolski, Warszawa; **Marjan Jagusiński, Kraków (zł. 30.—)**; „Wiślanka"; Manfred; Ir. Zabielińska, Puszczykowo; por. T. Dadej, Warszawa; W. Kortylewicz, Poznań; B. Morawski, Katowice; H. Zadarnowski, Dubno; W. Wondraczek, Warszawa; H. Łazarczyk, Ostrowiec; Fr. Świerczek, Kraków; A. Roter, Kraków; „Listopad", Warszawa; Z. Fonferko, Przemyśl; W. Olszewska, Krosno; N. Sobolewska, Lublin; M. Strubel, Warszawa; H. Lutrowiczówna, Raków; L. Borez, Przemyślany; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; L. Glaszmidt, Warszawa; M. Fischler, Lwów; M. Taras, Stryj; E. Rozenberżanka, Brzeziny; F. Krasucka, Kalisz; A. Szmytowa, Poznań; L. Siniłło, Góra Kalwarja; J. Robak, Kraków; H. Kornaszewska, Łask; J. Maziarz, Ozorków; Zdz. Ziętek, Rawicz; Kl. Kupilasówna, Szopienice; Jawnuta, Słonim; Helena Turowiczowa, Kraków; Ign. Zielonka, Nałęczów; M. Lampkówna, Kraków; St. Respler, Sambor; J. Chłosta, Chełmno; A. Szeworski, Nowy Sącz; Kaz. Kalinowska, Lwów; ks. L. Klementowski, Tarnopol; J. Tyblewska, Poznań; W. Tyblewski, Poznań; Kaz. Wiszniowski, Radom; Kaz. Karstka, Warszawa; C. Hajdamachówna, Kraków; Konst. Haluch, Lwów; Wład. Gajowa, Poznań; Wanda S., Królewszczyzna; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; L. Domański, Kowal; M. Federak, Częstochowa; N. Wasilewska, Sosnowiec; W. de Lippa, Warszawa; Z. Midowiczówna, Kraków; Wł. Pochmarski, Lwów; Cz. Kaszubska, Sieradz; B. Ramułtowa, Jeżów; Zdz. Fischbach, Września; Jan. Szarfenberg, Kalisz; M. Rundowa, Bielsko; N. Kazim. Kozłowski, Warszawa; **Kazimierz Chendyński, Nowa Wieś Śląska (zł. 20.—)**; J. Czerwiński, Kowel; M. Niekraszówna, Wilno; „Allach", Sosnowiec; A. Hechel, Sambor; St. Kołomej, Stanisławów; M. Hołubowicz, Chodorów; A. Bieniaszowa, Lwów; Fr. Krajewski, Warszawa; Stan. Mucha, Kraków; „Apollo", Ozorków; J. Billewiczowa, Toruń; H. Wymiałtakówna, Wieliczka; M. ze Zatora; Z. Pelczarówna, Stryj; H. Sipowiczówna, Łuniniec; R. Dergiman, Wino; J. Krósnowski, Warszawa; J. Kuncewicz, Brwinów; J. Ruta, Wieluń; J. Klimaszewska, Nowy Sącz; M. Fr. Jarocka, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Stan. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; J. Lisowa, Kraków; M. Albrzykowski, Kraków; M. Szewiakowa, Wilno; J. Musiałowicz, Poznań; H. Gintrowski, Kraków; St. Kornaszewski, Inowrocław; W. Fabrowski, Ostrzeszów; B. Kowalski, Chełmno; T. Antoszewska, Warszawa; E. Riedlówna, Warszawa; Z. Bendl, Lwów; A. Piekosińska, Słotwina; Danuta Piekosińska, Słotwina; M. Moszyńska, Lwów; **J. Marczyńska, Targanica (zł. 10.—)**; K. Moszkowska, Katowice; W. Zaboklicki, Warszawa; J. Rogowski, Warszawa; Zb. Block, Poznań; K. Łabużek, Kraków; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; St. Effert, Poznań; St. Maltze, Warszawa; „Helenka", Prokocim; Z. Pomianowski, Radom; E. Brzozowska, Warszawa; J. St. Suliński, Kowel; Cz. Białecki, Wilno; St. Ruebenbauer, Lwów; L. Pogoda, Jaworzno; A. Kondkowa, Cieszyn; Wład. Pędzimąż, Zakopane; Tad. Kosiński, Skierniewice; Wł. Bułka, Brodnica; Lesław Boroński, Kraków; J. Siutówna, Kraków; Liluś i Siano z Sanoka; J. Książczakowa, Warszawa; M. Waksmundzka, Jasło; E. Kostórkiewicz, Gorlice; J. Gdowski, Kraków; „Jotel", Warszawa; Marja Altenberger, Łódź; J. Świerczyńska, Lwów; J. Janczewski, Wilno; T. Kretkowski, Warszawa; Mr. Hubert, Żabno; J. Bielesz, Kraków; Wł. Biesiada, Ozorków; J. Dobrowolska, Toruń; Tad. Cieszewski, Wilno; R. Więckowski, Warszawa; „Abiturjent", Lwów; Adela Berezowska, Lwów; A. Papee, Katowice; J. Sobota, Krosno; M. Skotnicka, Skotniki; Stan. Tulej, Pińczów; D. Herbstmannówna, Warszawa; M. Urbanówna, Kraków-Podgórze.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Marjana Jagusińskiego, Kraków (zł. 30.—), Kazimierza Chendyńskiego, Nowa Wieś (zł. 20.—) i J. Marczyńską, Targanica (zł. 10.—). Redakcja „Światowida" prześle wyżej wymienonym gotówkę niebawem.

Za fotografje i artykuły niezamówione, a nadesłane, bądź przyniesione, redakcja „Światowida" nie odpowiada.

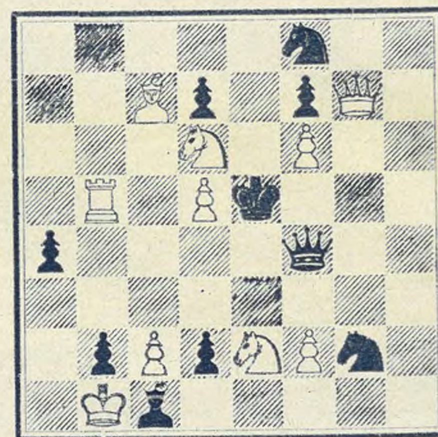
CZYTAJCIE „WRÓBLE NA DACHU" Nr. 48 (ROZWODOWY).

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

A. W. Danie („The British Chess Magazine" 1032).

Czarne: Ke5, Hf4, Gc1, Sf8g2, piony: a4, b2, d2, d7, f7 (10).



Białe: Kb1, Hg7, Wb5, Gc7, Sd6e2, piony: c2, d5, f2, f6 (10).

3-chodówka 10 + 10 = 20.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki A. W. Damela:
1. S—g3 (grozi H×f6)

I. 1... K—d4 2. G—b6 i 3×;
II. 1... H×g3 2. H×g3 i 3×;
III. 1... H—c4 2. S×f7 i 3×;
IV. 1...H—b4 2. H—g5 i 3×;
V. 1...S—e6 2. f×e6 i 3×.

PARTJA.

Białe: **M. Avecedo** Czarne: **Dr A. Alechin**

grana w turnieju w Meksyku w paźdz. br.

Gambit hetmana.

1. d4 S—f6	18. S—e1? **(2)** G×d4
2. c4 e6	19. H×d4 S×c3
3. S—f3 d5	20. W×c3 G—e2
4. S—c3 c5	21. W—a3 H—d6
5. e3 G—e7	22. H×a7 G×f1
6. d×c5 G×c5	23. K×f1 H×h2
7. e×d5 e×d5	24. H—d7 W—f8
8. G—e2 0—0	25. W—c3 H—b8
9. 0—0 S—c6	26. S—d3 W—d6
10. S—b5 S—e4	27. H—e7 W—e6
11. G—d2 G—g4	28. H—c5 Wf—e8
12. W—c1 H—e7	29. S—b4? d4!
13. G—c3 Wa—d8	30. H×d4 W—e4
14. Sb—d4 Wf—e8	31. S×c6 H×b2
15. G—b5 W—d6	32. H×e4 W—e4
16. H—a4 **(1)** W—g6	**Białe poddały się (3).**
17. G×c6 b×c6	

UWAGI:

(1) Białe przeceniaję sytuację. Rozstrzygnięcie partji zapadnie nie na skrzydle hetmana, lecz na skrzydle królewskiem. Należało grać 16. h3!

(2) Czarne groziły 18... G×f3. Białe tracą po posunięciu w partji jakość. Wskazanem było grać: 18. K—h1.

(3) Po 33. S—e7+ Czarne nie grają W×e7? (34. W—c8+!) lecz poprostu 33... K—f6!

ZDOLNY CHŁOPAK.



— Wojciechowo! Słyszałam, że syn wasz jest chłopcem w biurze.

— A jakże, i wiecie, jakie robi postępy, to aż się człeku wierzyć nie chce. Wczoraj na ten przykład dali mu do wysłania na pocztę dwa listy, jeden do Londynu, a drugi aż do samej Ameryki!

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65. Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65. Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 48 upoważniający do losowania nagrody

Z PUHACZEM NA SKRZYDLATE DRAPIEŻNIKI

— Minęły ostatnie ciepłe dni złotej jesieni. Zaorane ścierniska wyciągają się długiemi rzędami regularnych skib, tworząc naprzemian ciemne przestrzenie z jaśniejszemi oziminami na szachownicy pól. Zimne podmuchy wiatrów wiejących z północy strącają z drzew ich ostatnią ozdobę rdzawego listowia, ścieląc go rudym szeleszczącym dywanem u ich stóp. Czerwone zorze, lekka siność w powietrzu i pierwsze ranne przymrozki zwiastują zbliżanie się zimy, pory najcięższej dla ludzi i zwierząt.

Płochliwy zając, wracając po nocnych harcach z młodej oziminy przywarował w oranisku. Tuląc swe płowe futerko pod dużą skibą ufa, że go nikt nie spostrzeże i zasypia z otwartemi oczami.

Spędziwszy noc zbite w gromadkę wyszło na ściernisko stadko kuropatw. Biegają pilnie szukając za pożywieniem. Z dużego stada zaledwie połowa się uratowała przed srogim myśliwym i jego psem tropiącym je zawzięcie. Nie ominęły nielitościwe śruty starego koguta, który pierwszy padł od strzału — teraz sama matka dbać musi o swe dziatki. Czuwa więc i podnosząc główkę niespokojnie bada okolicę.

W tem cień jakiś złowróżbny mignął niewyraźny z wysoka. Gnany głodem szybuje gdzieś pod niebem rabuś straszliwy jastrząb-gołębiarz. Bystre źrenice przeglądają pola, badawczo lustrują każde zagłębienie, każdą kryjówkę, gdzie zwierz przyczajony szuka schronienia. Nagle zatrzymał się w locie — zatoczył koło i ważąc się na nieruchomych skrzydłach zawisł nad ścierniskiem, błyskając białym centkowanym spodem i prężąc drgające szpony. Widać spostrzegł coś i naraz jak kula spada błyskawicznie godząc w jedną z kuropatw, co jak szare grudki przypadły do ziemi, nieruchome ze strachu. Zaciskał szpony, wbija ostre haki w żywe ciało i za chwilę wzlatuje ciężkim lotem unosząc łup ze sobą.

— — — — — — — — — — — — — —

Na piaszczystym pagórku, skąd rozległy roztacza się widok, rysuje się zdaleka wkopane suche drzewo. Obok niego stoi drążek z poprzeczką, a w odległości trzydziestu kroków czai się w ziemi wgłębiona budka, przykryta darnią, z dyskretnie zamaskowanemi okienkami. To wygodny szałas służący myśliwemu za schronienie, z którego obserwować może posadzonego na drążku, czyli na t. zw. berle puhacza. Oswojony puhacz służy przy tym rodzaju polowania za przynętę, z powodu nienawiści z jaką odnoszą się do tego największego nocnego rabusia, wszystkie dzienne ptaki. Szczególnie ptaki krukowate, oraz dzienne ptaki drapieżne spostrzegłszy puhacza biją na niego zapamiętale i zbliżywszy się w swem zaślepieniu, nie widząc zasadzki, umożliwiają strzał ukrytemu myśliwemu.

Jesienny późny poranek.

Z wieczora rozpełzła senną powodzią mgła i otuliła mleczną tkaniną lasy, pola uprawne i ludzkie siedziby. Leniwie tocząc fale szemrze cicho rzeka w obramieniu czarnych olch. Szare opary wstające z nad wody wsiąkają w okoliczne lasy, wilgotnym całunem obejmują drzewa i rozwleczone lekkim powiewem snują się po polach, kryjąc przed wzrokiem dalsze przestrzenie. Niewidzialne stada wron ciągną od lasu z miejsc swoich zwykłych noclegów, które o zmroku zaległy z krakaniem.

Dotkliwy chłód przenika do szpiku kości.

Leniwie powstałe słońce nieśmiało zdusiło poświatę miesiąca, z trudnością siejąc swe światło przez szarych mgieł zwały.

Im wyżej wznosi się ukryta złota kula tem cieplejsze śle promienie, tem wszechwładniej ogarnia świat. Chce zbliska przyjrzeć się ziemi, więc dusi opalizujące tumany białych mgieł, by nakoniec zwyciężone legły i zginęły bezpowrotnie.

Koło południa, gdy mgła opadła, a ruń ozimin i zrudziałe źdźbła zeschniętych traw roziskrzyły się perełkami tysiącznych kropelek spadłej rosy, wzieliśmy puhacza udając się do budki.

Zaledwie puzio wskoczył na berło, a my zniknęliśmy w ziemiance obserwując go przez okienko, gdy puhacz zamarkował. Obrócony na bok pilnie wypatrywał mrużąc swe bursztynowe ślepia. Za chwilę donośne krakanie rozległo się nad naszemi głowami. Co chwila słychać było szum skrzydeł nadlatującego ptaka, a czarne cienie szybko pomykały po zalanej słońcem ziemi. Nasz „przyjaciel" kręcił się na berle oglądając się na wszystkie strony, puszył się, rósł w oczach, opuszczając skrzydła, przestępował z nogi na nogę i kłapał swym ogromnym, zakrzywionym dziobem. Coraz bliżej atakowały z różnych stron, kracząc przeraźliwie czarne, błyszczące ptaki.

Nie strzelaliśmy bawiąc się widokiem, gdyż były to same gawrony, nie przynoszące myśliwemu szkody i dla rolnika bardzo pożyteczne.

Lecz cóż to — pomiędzy gromadami hebanowych ptaków widać szaro błyskające popiersia. To wrony zwabione niezwykłym hałasem przyleciały i biją z jeszcze większą furją na uwięzionego mocarza. Mierząc na boki strzelamy równocześnie.

Krótką chwilę zalega śmiertelna cisza — ptactwo oniemiało ze strachu. Dwie wrony, jak rażone niewidzialnym gromem wydają ostatnie tchnienia. Jedna leży martwa, druga trzepie się w agonji na żółtym piasku. Na to rozlega się krzyk grozy. Skrzydlata gromada obsiada suche gałęzie i kracząc trwożliwie spogląda na zabitych towarzyszów. Niezawodnie przypisuje winę ich śmierci znienawidzonej sowie.

Padające znowu szybkie strzały strącają jeszcze trzy ptaki z drzewa i cała halastra odlatuje z niesamowitego miejsca, gdzie wróg niewidzialny zdradziecko wyrywa ofiary z ich szeregów.

Posyłamy psa z budki, który aportuje pokolei zastrzelone wrony. W międzyczasie puziu zeskoczył z berła i zatrzymując sobie jedną z nich, rozpoczął śniadanie. Nie przeszkadzamy mu w tej czynności wiedząc, że ruchem swoim ściągnie nam znowu ptactwo. Jakoż nie potrzebowaliśmy długo czekać. Przelatująca sroka spostrzegłszy puhacza narobiła hałas swojem skrzeczeniem i wkrótce mieliśmy powtórnie piękne widowisko: rozjuszone widokiem ucztującego puhacza bily wrony z takiem roznamiętnieniem, że znowu udało nam się kilka z nich położyć.

Krótki dzień jesienny miał się ku końcowi. Dłużyło nam się oczekiwanie w ciemnym lochu. Żaden ptak nie nadlatywał. Puhacz przymknąwszy ślepia drzemał na berle. Budzony pociągnięciem sznurka za nogę, na której miał założone pęta, tracił równowagę i machając bezsilnie skrzydłami sadowił się na nowo.

Naraz zamarkował i zaraz zjawia się nad nim mały drapieżca. Okrąża go kilkakrotnie, zawisa w miejscu trzepiąc się w szybkim ruchu skrzydeł i „ćwierka", wydając głos piskliwy.

W zwinnym ptaku rozpoznajemy pustułkę, nieszkodliwego sokolika.

Chwyconą broń odstawiamy obserwując niezwykły obrazek.

W tem pustułka znika nam z oczu, puziu się rozczapierza, zeskakuje z berła i rozłożywszy skrzydła zaczyna głośno kłapać dziobem.

Niewidzialny jeszcze dla nas zbliżał się jakiś poważny przeciwnik. Stanęliśmy w pogotowiu przy okienkach, gdy zamajaczył duży ptak wprost z góry staczając się na broniącego się puhacza. W ostatniej chwili błyskawicznie poderwał się duży jastrząb z nad samej głowy olbrzymiej sowy, jakby się zląkł ogromnego dzioba i straszliwych wysuniętych szponów.

Ruchy jego były tak szybkie, że napróżno wodziliśmy lufami za nim, gdy przez krótki moment był widoczny z wąskiego okienka. Po kilku atakach zaczął się oddalać i zanim zdążyłem wziąć go na muszkę, huknął strzał mego towarzysza, a szybsze od lotu ptaka śruty przeszyły go, łamiąc mu skrzydła.

Obezwładniony legł na ziemi, nad którą jeszcze niedawno królował i kończył swój krwiożerczy żywot, zwyciężony podstępem człowieka.

Inż. Stanisław Leo.



Puhacz, coraz rzadszy mieszkaniec naszych lasów. Trzyma się tylko dużych kompleksów leśnych. Złapany za młodu, przyzwyczaja się powoli do człowieka i daje się używać, jako wabik do polowania. Puhacz jest bowiem znienawidzony przez wszelkie ptactwo, które zobaczywszy go za dnia, rzuca się na niego całemi gromadami. Korzysta z tego ukryty człowiek i poluje w ten sposób na ptaki.



Upolowane w ciągu dwóch dni przy puhaczu ptactwo drapieżne. Zwraca uwagę duży orlik, dość częsty na Pokuciu.

ZDJĘCIA INŻ. ST. LEO KRAKÓW.



Budka w postaci ziemianki, służąca za kryjówkę dla myśliwych, którzy z okienek strzelają do ptaków, bijących na puhacza-wabika.

„MACIERZYŃSTWO“.



Pastel Stanisława Wyspiańskiego, znajdujący się w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie.